

PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

LISTOPAD 1999

ISSN 1429-4494

NR 9 (Specjalny) (57)/99 ROK VII

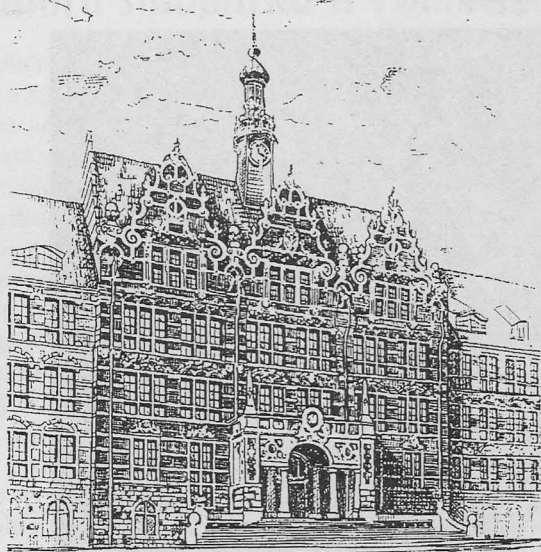


(fot. T. Chmielowiec)



Spotkanie byłych i obecnych parlamentarzystów w Dolinie Radości





"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej
Zespołu Redakcyjnego.
Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.
Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz),
Marek Biziuk (redaktor prowadzący)
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki,
Joanna Szłapczyńska, Anna Szejma

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Stala współpraca:
Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szłapczyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 29 października 1999 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

Spis treści

Kilka słów wstępu <i>Janusz Rachoń</i>	4
Kultura studencka w Politechnice Gdańskiej w latach pięćdziesiątych <i>Lucjan Bokiniec</i>	5
Kultura studencka po latach pięćdziesiątych <i>Marek Biziuk</i>	8
Słowo o Chórze <i>Zdzisław Kusto</i>	10
BAZUNA i turystyka studencka - nieodłączna część kultury studenckiej <i>Elżbieta Dudziuk</i>	14
Słów kilka o długiej historii SAR-u <i>Mieczysław Serafin</i>	15
"Kronika Studencka". Trochę wspomnień i jedna refleksja <i>Stefan Figlarowicz</i>	18
Akademicki Klub Taneczny Politechniki Gdańskiej <i>Jerzy Miotk</i>	20
Moje cudowne lata... <i>Jerzy Ciepiewski</i>	20
"Politechnik" - przygoda i coś więcej... <i>Wojciech Charkin</i>	23
Kultura studencka dzisiaj <i>Hubert Kowalski</i>	24
Kręcić czy nie kręcić, czyli jak robiliśmy "Krótki film o zaliczaniu" <i>Paweł Czarzasty</i>	24



*Ewa Mozdyniewicz
w "Radości poważnej"*

Kilka słów wstępu



(Fot. T. Chmielowiec)

Klub Parlamentarzysty Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej tradycyjnie już otrzymuje zaproszenia do wzięcia udziału w otwartych posiedzeniach Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej. Z zaproszeń tych korzystamy bardzo chętnie. Jest to bowiem wyjątkowa okazja do spotkań koleżeńskich w gronie studentów, którzy w końcu lat pięćdziesiątych tworzyli Studencki Parlament Politechniki Gdańskiej i tych, którzy kontynuowali pracę na rzecz środowiska studenckiego w latach następnych, w ramach tej tak unikatowej formy działalności studenckiej. Jest to ponadto wyjątkowa okazja do nawiązywania więzów międzypokoleniowych, na których nam bardzo zależy. Uważamy bowiem, że szkoła wyższa to nie mury i budynki. Szkoła wyższa to kadra profesorska, to studenci, a przede wszystkim tradycja. Do pięknej tradycji Politechniki Gdańskiej należy specyficzny klimat tworzony przez władze tej uczelni i jej nauczycieli akademickich, a sprzyjający samorządności studenckiej. W naszej uczelni od szeregu lat rozumiano, iż społeczna działalność na rzecz środowiska studenckiego to element dobrze pojętego obywatelskiego wychowania, a zarazem szkoła kierowania zespołami, tak potrzebna w życiu zawodowym inżyniera.

Tematem tegorocznej sesji Uczelnianego Parlamentu Studentów Politechniki Gdańskiej była kultura studencka wczoraj, dzisiaj i jutro. Z wielką przyjemnością staraliśmy się opowiedzieć, jak wyglądała ta strona życia środowiska studenckiego Politechniki Gdańskiej w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. A było co opowiadać! Politechnika Gdańska stanowiła potęgę na mapie kultury studenckiej Polski ze swoją rozgłośnią radiową, klubami studenckimi, teatrami, kabaretami, zespołami muzycznymi i chórem, klubem filmowym, Kroniką Studencką i Tygodnikiem "Politechnik", jak również szerokim ruchem turystycznym. To Politechnika Gdańska od roku 1965 była organizatorem corocznych ogólnopolskich festiwali: przeglądu teatrów uczelni technicznych (tzw. "Przetarg") oraz ogólnopolskich przeglądów studenckich zespołów jazzowych.

Dzisiaj kultura studencka wygląda inaczej, ale i czasy są inne, inne zwyczajy i możliwości, inna oferta. Czasami wydaje

mi się, iż studentom sprzed 20, 40 lat żyło się łatwiej i bardziej wesoło (a jakie były dziewczyny!!!). Wszyscy byliśmy jednakowo źle ubrani i bez pieniędzy, ale za to spędzało się długie wieczory na dyskusjach o literaturze, teatrze, filmie i muzyce (czy ktoś jeszcze pamięta tzw. premiery studenckie w Teatrze "Wybrzeże"?). W rajdach studenckich "Pierwiosnki" czy "Opadające Liście" uczestniczyła cała uczelnia, a Rektor z tej okazji ogłaszał dni rektorskie. Wakacje spędzało się na tanich obozach studenckich za pieniądze wcześniej zarobione w Studenckiej Spółdzielni Pracy. A co najważniejsze, w tamtych czasach epoki siermiężnego socjalizmu wszyscy wyznawaliśmy **filozofię "być", a nie "mieć"!**

*Janusz Rachoń
Przewodniczący
Klubu Parlamentarzysty
Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej*



Neptunalia '66. Czy rozpoznajecie Państwo na tym zdjęciu kogoś z górnej fotografii? (fot. archiwum)

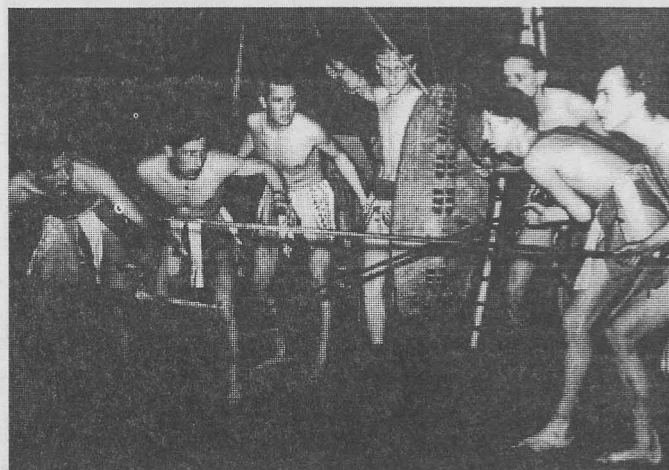
Kultura studencka w Politechnice Gdańskiej w latach pięćdziesiątych

Studia na Politechnice Gdańskiej rozpocząłem w 1953 roku, w kilka miesięcy po śmierci Stalina. W owym czasie w uczelni działała organizacja polityczna ZMP - Związek Młodzieży Polskiej, która wówczas miała jeszcze głos decydujący w sprawach studenckich, jednak powstałe w 1950 roku ZSP - Zrzeszenie Studentów Polskich stopniowo obejmowało swoją działalnością coraz szerszy zakres życia studenckiego. Stawało się ono powoli organizacją masową, zrzeszającą 95 % wszystkich studentów. Ambicją ZSP było stać się zawodową organizacją studentów, obejmującą swoją działalnością sferę kulturalną, działalność naukową, turystyczną i socjalną, czyli w gruncie rzeczy całokształt życia studentów.

W pierwszych latach moich studiów na Politechnice Gdańskiej, podobnie jak i w innych uczelniach największym zainteresowaniem cieszyła się działalność zespołów chórальных, zespołów pieśni i tańca (w PG prowadzonego między innymi przez Janinę Jarzynównę), zespołu baletowego (prowadzonego przez primabalerinę Gruszkównę) i zespołów muzycznych od orkiestry symfonicznej po kilkusobowe zespoły wydziałowe. Ciekawie prezentowało się pismo uczelniane *Głos Politechniki Gdańskiej*, ukazujące się od 1953 do 1956 roku.

Nasza pamięć o pierwszych latach odwilży jest skromna. Skromnie też wyglądają osiągnięcia tamtego okresu, zestawione z dokonaniem późniejszymi. Jednak obojętnie jak dziś oceniamy tamte czasy, należy pamiętać, że to wtedy zaczęto stawiać pytania, na które odpowiedź mogły dać dopiero lata następne.

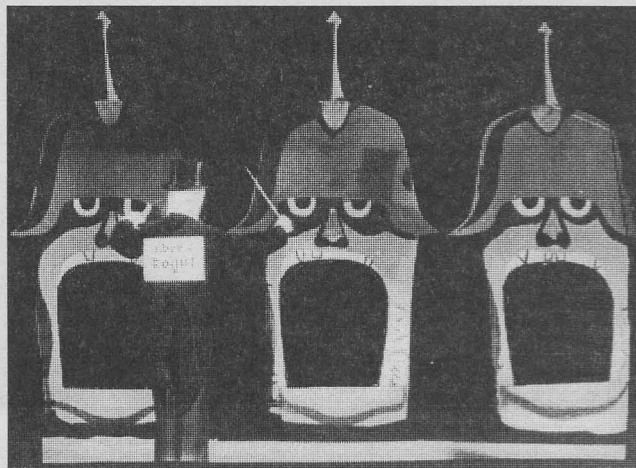
Pierwsze oznaki ożywienia pojawiły się w środowiskach akademickich, głównie w Politechnice Gdańskiej, gdzie nie



Bim-Bom - scena zbiorowa z "Ahaa..."

tylko zaczęto stawiać pytania, ale i szukać na nie odpowiedzi. Studencka prasa pisała: "Nie każcie nam śpiewać rymowanych haseł [...]. Nie każda piosenka sportowa, młodzieżowa musi awansować na hymn. Nie każda dziewczyna ukochaną musi być traktorzystką".

Jesienią 1954 roku Zespół Dramatyczny Politechniki Gdańskiej wystawił sztukę Hanny Januszewskiej pod tytułem "Nawojka", opowiadającą o pierwszej studentce Uniwersytetu Jagiellońskiego, która podjęła tam naukę dzięki przebraniu za chłopca. W roli tytułowej wystąpiła studentka Wydziału Chemicznego PG Aleksandra Schlichtingerówna, późniejsza Baraniak. W osiemdziesięciosobowym zespole oprócz aktorów



Bim-Bom - sceny z "Radości poważnej"





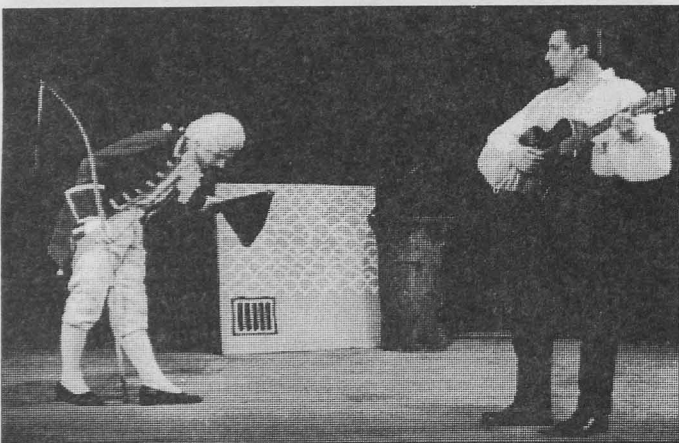
Przedstawienie "Nawojki"; z lewej Nawojka - A. Shlichtinger



T. Wojtych i A. Wasilewski w "Nawojce", 1954 r.



Bim-Bom - "Wielki Kahał"



M. Kochanowski i T. Chyła: "Piosenka o karecie"

były orkiestra i balet. Na zdjęciach scen zbiorowych można rozpoznać późniejszych założycieli Uczelnianego Parlamentu ZSP Politechniki Gdańskiej: Czesława Drueta i Andrzeja Cybulskiego oraz Olka Wasilewskiego, Tadeusza Wojtycha i wielu innych. Sztukę reżyserował aktor Julian Lubicz-Lisowski, późniejszy wieloletni dyrektor Teatru Bałtyckiego w Koszalinie, a scenografię opracował Marian Kołodziej. Kostiumy szyte przez Cepelię i część rekwizytów wypożyczono z Teatru Młodego Widza w Krakowie, który jako pierwszy wystawił "Nawojkę". Trudno jest w tej chwili wyobrazić sobie to gigantyczne przedsięwzięcie. Próby orkiestry, baletu i aktorskie odbywały się w różnych częściach tej samej sali: stołówce studenckiej w Bratniaku. Na noc wypożyczano salę obecnej Opery. Wspominam to wydarzenie chociażby dlatego, że dla wielu z nas było to pierwsze zetknięcie się z teatrem.

Mniej więcej w tym samym okresie (listopad 1954), również w stołówce w Bratniaku, został zaprezentowany oparty na własnych tekstach (Jerzy Afanasjew i Zdzisław Ciesielski) program Studenckiego Zespołu Satyryków, do którego należeli głównie, choć nie jedynie, studenci architektury: Tadeusz Chrzanowski, Andrzej Jagodziński, Bogdan Krzyżanowski, Kajo Pakszyc, Olgierd Wasilewski, Tadeusz Wojtych, Elżbieta Czappówna i inni. Przygotowaną składankę wyreżyserował aktor Teatru Wybrzeże Zbigniew Cybulski. Niedoskonałości programu, nazwanego później Programem Zero, wyrównywało celnym żartem ze studenckiej rzeczywistości i piosenką.

W następnym roku, po przyjęciu do Zespołu Satyryków studentów z innych uczelni, szczególnie plastyków (Jacek Federowicz, Włodzimierz Bielicki, Tadeusz Chyła), powstał wielki program pod nazwą "Ahaa..." teatru nazywanego od tej pory Bim-Bomem. Premiera tego programu odbyła się w maju 1955 roku w teatrze Miniatura. Kolejne premiery reżyserowane były przez aktorów Zbigniewa Cybulskiego i Bogumiła Kobięłę. W 1956 roku odbyła się premiera "Radości poważnej", a w roku następnym "Toastu". Kolejna premiera, to wystawione w 1960 roku przedstawienie "Coś by trzeba...". Łącznie zaprezentowano ponad 370 przedstawień w kraju i za granicą (między innymi w Moskwie, Wiedniu, Brukseli i Paryżu), które zebrały właściwie wszystkie liczące się w owym czasie nagrody na studenckich przeglądach i festiwalach.

W okresie swojej działalności Bim-Bom miał ogromny wpływ na życie artystyczne w kraju. Wystarczy wspomnieć o takich współpracownikach, jak Sławomir Mrożek czy Antoni Słonimski. Okazjonalnie pojawiali się również Wajda, Munk, Polański, Basia Kwiatkowska, Krzysztof Komeda, Morgenstern, Maklakiewicz. Wśród publiczności znaleźli się między innymi Jacques Fabri, Yves Montand i Marcel Marceau.

Teatrzyk Bim-Bom już od pierwszej premiery stał się słynny, był rewelacją. Gdyby zebrać wszystkie wycinki prasowe, zarówno z prasy polskiej, jak i zagranicznej, omawiające działalność Bim-Bomu, zebrałoby się kilka tomów. Co zadecydowało o tak ogromnej popularności tego, początkowo skromnego i prostego, teatrzyku studenckiego? Być może stało się tak dlatego, że w czasach cenzury ograni-



Ostatni program Bim-Bomu



Po premierze "Popiołu i diamentu" w Żaku, 1959 r.; na pierwszym planie od lewej - L. Bokiniec, w środku A. Wajda, z prawej Z. Cybulski (fot. Z. Grabowiecki)

czającej w dużym stopniu swobodę wypowiedzi, Bim-Bom potrafił uczynić z milczenia narzędzie efektywnej komunikacji i bardzo skuteczną broń. To, o czym wolno było mówić, przedstawiano w sposób wieloznaczny i metaforyczny, natomiast to, co nie było dozwolone, wręcz przeciwnie: wyrażano aluzją, skrótem, milczeniem w sposób tak jednoznaczny i czytelny, że przesłanie to było doskonale rozumiane na całym świecie. Bim-Bom był teatrem wysoce autorskim, nie do podrobienia. Cechał się własną, specyficzną poetyką i niepowtarzalnym stylem. Wszystkie jego programy, to w gruncie rzeczy stosunkowo proste składanki: skecze, piosenki, scenki pantomimiczne połączone ze sobą luźną, choć istotną i zawsze wyraźną ideą przewodnią, tworzące jednak wyjątkową całość. Bimbomowcy głosili, że w każdym człowieku jest coś z koguta - uosobienie pychy, biurokracji i zła - i z kataryniarza, który na swoim sercu-katarynie wygrywa najpiękniejsze melodie. Oni chcieli być kataryniarzami.

Ludzie z Bim-Bomu nie ograniczali się do działalności jedynie w tym teatryku, ale jednocześnie współtworzyli "Żaka",

zakładali nowe sceny, takie jak: Teatr Rozmów, Cyrk Rodziny Afanasjef Tralabomba, kabaret "To tu", a także występowali w teatryku rąk "Co to", współtworzyli prasę studencką. W tym czasie kontynuowali i kończyli studia.

Wspomniany wcześniej Teatr Dramatyczny Politechniki Gdańskiej, który w 1954 debiutował słynną inscenizacją "Nawojki", przyjął nazwę Studencki Teatryk "Kabały". Inaczej niż w Bim-Bomie, w tym teatryku spektakle były przygotowywane na podstawie istniejących już profesjonalnych tekstów dramatycznych. Recenzenci przedstawień podkreślali przede wszystkim dużą kulturę inscenizacji, staranną dbałość o atrakcyjność teatralną oraz naturalność gry młodych aktorów. W 1956 roku wystawiono "Igraszki z diabłem" Jana Drdy, a w 1958 roku jednoaktówki: "Jest tam kto?" Williama Saroyana, "Płyty" Krystyny Uniechowskiej oraz "Globus" Andrzeja Jarockiego. W rok później przygotowano sztukę Emila Zegadłowicza "Łyżki i księżyc", a następnie własną adaptację "Małgorzaty" Stanisława Dygata. W 1960 roku zrealizowano montaż poezji Stanisława Różewicza, a w 1962 roku teatryk



"Co to" i teatr "Galeria" w Amsterdamie, 1968 r. (fot. L. Bokiniec)



Zjazd na 40-lecie Bim-Bomu, 1995 r. (fot. T. Chmielowiec)

zakończył swoją działalność spektaklem "Dom na górze" według Stanisławy Fleszerowej- Muskat.

Teatr tworzyli i reżyserowali: Stanisław Hałaburda, Hanka Krupianka i gościnnie Zygmunt Hibner. W spektaklach uczestniczyli: Aleksandra Schlichtinger-Baraniak (pamiętna Nawojka), Andrzej Guziński, Krystyna Chudzińska, Wiesław Porębski, Andrzej Kohnke, Michał Smoczyński (kierownik teatru) i wielu innych.

Według szacunków ZSP na 130 tysięcy jego członków (95 % studiujących) ponad 13 tysięcy należało do amatorskich zespołów artystycznych. W tej statystyce ujęto również nietypowy teatrzyk z Gdańska, którego stan osobowy podawano według liczby... rąk wykonawców. Wynosił on osiemnaście rąk pojawiających się ponad parawanem w różnych klubach Europy. Był to teatrzyk "Co to". Pisano o nim: "Teatr rąk, teatr symboliki, teatr miniatur - nastroju, żartu, groteski i poezji. Rewelacyjne zjawisko nie mające sobie dziś równego" ("Życie Warszawy"). Ręce, prowadzone przez muzyczny podkład, wyrażały bogatą skalę ludzkich uczuć, wypowiadały myśl aktora w sposób delikatny i niejednokrotnie doskonalszy niż oddałyby ją słowa. Te składanki, mówiące o sprawach wielkich i małych,

w których ręce i przedmioty przedstawiały ludzkie dramaty i farsy w sposób niezwykle sugestywny, właściwie trudno zakwalifikować do konkretnej kategorii: cyrk, kabaret, zabawa przyjaciół - był on po części wszystkim. Atmosferę tego teatrzyku można odnaleźć w filmie "Do widzenia do jutra". Zakończył on działalność w 1968 roku.

W fachowych omówieniach wskazuje się na rok 1956 jako na rok szczytowy tego okresu. Spinają go, jak klamrą, dwa niezwykle istotne dla naszego środowiska wydarzenia. 22 stycznia w ówczesnym kinie "Zetempowiec" (obecnie "Znicz") projekcją filmu Vittoria de Sica "Cud w Mediolanie" zainaugurował swoją działalność Dyskusyjny Klub Filmowy Studentów i Młodej Inteligencji. W tym roku odbyła się między innymi premiera drugiego programu Bim-Bomu "Radość poważna", premiery teatrzyków "Co to" i "Kabały". Burzliwy rok zakończył się złożeniem w dniu 15 grudnia apelu do władz w sprawie powołania środowiskowego klubu studenckiego. Pod tą petycją, która jednocześnie spełniała funkcję wstępnego programu działalności nowego klubu, złożono ponad trzy tysiące podpisów. Klub miał nazywać się "Żak".

Opracowanie to jest komentarzem do demonstrowanego na forum tej sesji filmu będącego montażem zachowanych fragmentów przedstawień teatrzyków studenckich i innych przejawów działalności kulturalnej przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Napisano wiele książek o kulturze studenckiej tego okresu. Dla mnie osobiście najbardziej przydatne okazały się opracowania trzech Bimbomowców: Jerzego Afanasiewa "Sezon kolorowych chmur", Andrzeja Cybulskiego "Pokolenie kataryniarzy" i Mieczysława Kochanowskiego "Radość poważna" oraz Michała Błazejewskiego "Kartki z dziennika akademickiego".

Lucjan Bokinieć

Zespół Technik Multimedialnych

(Zdjęcie Bim-Bomu z archiwum T. Chrzanowskiego, zdjęcia z "Nawojki" z archiwum A. Shlichtinger)

Kultura studencka po latach pięćdziesiątych

Przypadł mi w udziale zaszczyt przypomnienia, jak wyglądała kultura studencka w latach sześćdziesiątych, tzn. po okresie gwałtownej eksplozji drugiej połowy lat pięćdziesiątych, którą prezentował mój poprzednik Lucjan Bokinieć. Okres ten nie ma tak bogatej bibliografii, nie był może tak bogaty w spektakularne wydarzenia, ale przerastał zdecydowanie lata pięćdziesiąte, jeśli chodzi o masowość i różnorodność imprez kulturalnych oraz zaangażowanie olbrzymiej liczby studentów w działalność na rzecz środowiska. Wszystko, co wtedy robiliśmy, było organizowane przez studentów i dedykowane studentom.

Postaram się w dużym skrócie przedstawić strukturę organizacyjną oraz niektóre formy działalności kulturalnej na PG. O poszczególnych zjawiskach, które wywarły olbrzymi wpływ na życie studenckie, opowiedzą ludzie bezpośrednio zaangażowani w tę działalność.

W latach 1968/69 pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Kultury Komitetu Wykonawczego Uczelnianego Parlamentu Studentów PG. W skład takiej komisji wchodził:

- przewodniczący KK Zespołów Poselskich poszczególnych wydziałów;

- przewodniczący KK Rad Mieszkańców wszystkich akademików;
- przedstawiciele Rad Klubów działających na PG;
- kierownicy zespołów artystycznych;
- przedstawiciele Klubów Zainteresowań
 - Pro-musica;
 - Klubu Miłośników Teatru;
 - Klubu Miłośników Plastyki;
 - Klubu Dobrej Książki.

Biorąc pod uwagę fakt, że na wydziałach, w klubach, DS-ach zaangażowanych w tę działalność było znacznie więcej studentów, można oszacować, że aktywnie włączało się w działalność około 100 osób. Był to olbrzymi sztab ludzi. Bez tak szerokiego zaplecza nie byłoby możliwe organizowanie tak różnorodnej działalności.

Przejdźmy do sedna. Naszymi własnymi politechnicznymi, sztandarowymi imprezami były 2 ogólnopolskie festiwale. Były to:

- Ogólnopolski Przegląd Studenckich Teatrów Uczelni Technicznych, funkcjonujący później pod nazwą "Przetarg", organizowany od 1965 roku, oraz



Wieczór poezji grupy "Sit Venia Verbo"

- Ogólnopolski Przegląd Studenckich Zespołów Jazzowych organizowany również od 1965 roku. ,

Przetarg rozwinął swą początkową formułę organizując prezentacje teatrów studenckich, konkursy poetyckie, konkursy małych form literackich, fotografiki, prezentacje chórów, turnieje tańca towarzyskiego oraz turnieje piosenki. Gościliśmy takie sceny, jak: "Agora", "Forum" i "Quant" z Politechniki Łódzkiej, ST Pantomimy "Gest" z Politechniki Wrocławskiej, "Agawa" i "Alternatywa" z Politechniki Poznańskiej, "Wodogłowiec" z Akademii Górniczo-Hutniczej, "Mafia" z WSI w Bydgoszczy, "Sigma" i "Bufor" z Politechniki Warszawskiej, STG (Jarockiego) i "Step" z Gliwic, czy wreszcie Studio Pantomimy z Politechniki Szczecińskiej oraz nasz własny Kabaret π . Nie jestem w stanie wymienić wszystkich zespołów, które przewinięły się przez ten festiwal, ale chciałbym zwrócić uwagę na szeroką reprezentację wszystkich ważnych polskich ośrodków akademickich oraz popularność teatru studenckiego.

Poza "Przetargami", przy współpracy z Klubem "Żak", zapraszaliśmy także inne ważne teatry i kabarety studenckie: "Piwnicę pod Baranami", "Gong 2" z Lublina, "Teatr 38" i "Teatr Stu" z Krakowa, "Cytrynę" z Łodzi, a także studenckie teatry zagraniczne. Spektakle cieszyły się dużą popularnością wśród



"Neptunalia" 1965 r.



"Spotkania jesienne" w "Żaku", 1965 r.

Tańczą marszałek UP ZSP C. Druet, i dyr. Teatru Wybrzeże J. Goliński. (fot. S. Figlarowicz)

studentów. Oryginalne, własne widzenie świata i teatru, bo przecież świat jest teatrem, przyciągało do sal teatralnych wielu widzów.

Dorocznymi świętami kultury studenckiej były także "Spotkania Jesienne" organizowane przez całe środowisko studenckie Trójmiasta oraz "Neptunalia", w czasie których miasto było nasze.

Obok tego istniał codzienny, wcale nie taki szary, nurt kultury studenckiej. Z dużym rozręwnieniem wspominam premiery studenckie, przede wszystkim teatralne, prowadzone przez dyrektora Jerzego Golińskiego. Premiery cieszyły się taką popularnością, że bilety były reglamentowane na poszczególne wydziały. Po spektaklu była okazja porozmawiania o sztuce i jej realizacji z aktorami, reżyserem i pozostałymi twórcami spektakli. A było o czym rozmawiać: "Ulisses" Joyce'a, sztuki Mrożka, Becketta, O'Neill'a, Abbego, Dürrenmatta wzbudzały emocje widzów.



"Neptunalia" 1966 r.

J. Możdżer, przew. Komisii Informacji i Propagandy KW UP ZSP. (fot. S. Figlarowicz)

Montaż wystawy konkursowej "Studencki przetarg '67",
Hol Główny PG (fot. S. Figlarowicz)



Od lewej studentki Wydziału Architektury: N. Smolarz
i B. Waszak (autorka nazwy konkursu)

Należy tu wspomnieć o świetnie funkcjonującym w Gmachu Głównym "Orbisie" Studenckim, w którym można było dostać ulgowe bilety na prawie wszystkie imprezy, które odbywały się w Gdańsku. Ulgowe bilety były dofinansowywane dodatkowo przez Techno-Service, który był również mecenasem prawie wszystkich imprez kulturalnych odbywających się na Politechnice.

Wiele działało się także w klubach w DS-ach, w których organizowane były - wieczory poezji, także własnej, studenckiej, np. grupa "Sit Venia Verbo" działająca w DS 17 w "Żaczku" (obecnie "Orbital" w DS 7):

- ♦ wieczory muzyki klasycznej, na żywo i z płyt,
- ♦ wieczory jazzowe (słynne jamsession) w "Schroniku",

- ♦ teatry przy stoliku w wykonaniu aktorów Teatru "Wybrzeże",
- ♦ galerie sztuki, szczególnie w "Żaczku", gdzie razem z chemikami mieszkali architekci.

Sporo działało się także w Kwadratowej, w której królowało "Flamingo" pod wodzą Lulu Woźniaka, a potem "Decatlon Dixilend Detko Band", który będziemy mogli dzisiaj usłyszeć w Dolinie Radości.

Pierwszy koncert "Flamingo" odbył się w sali, w której się teraz znajdujemy (Aula PG) 8 marca 1958 roku. To właśnie "Flamingo" było współorganizatorem festiwalu jazzowych. Zespół ten odnosił spore sukcesy na Jazz Jamboree w 1961, 1963 i 1966 r, Jazz nad Odrą (I miejsce i Złota Tarka) w 1965 roku, także za granicą: w Jugosławii, Francji, Czechosłowacji, Norwegii, Niemczech, Austrii, Szwajcarii, na Węgrzech i w Bułgarii. 30 koncertów filharmonicznych, w tym 16 w Filharmonii Narodowej, 87 koncertów jazzowych, 8 nagród międzynarodowych, 9 medali i 12 dyplomów, to imponujące osiągnięcia tego zespołu.

Inną formą działalności był również DKF. Wprawdzie Dyskusyjny Klub Filmowy im. Zbyszka Cybulskiego działał przy "Żaku", ale większość ludzi w nim działających oraz członków klubu wywodziła się z Politechniki. Nie muszę przypominać, że twórcą tego najprężniej działającego w Polsce Klubu filmowego był Lucjan Bokinić, mój przedmówca, żywa legenda ruchu studenckiego na Wybrzeżu. Sam byłem przez 8 lat wiceprezesem tego Klubu. Omijając cenzurę zdobywaliśmy z ambasad, z archiwum, a nawet prywatnie filmy zakazane do powszechnego rozpowszechniania. Dyskusje z twórcami, także zagranicznymi, były ostre, ale wnikliwie. Działalność Klubu polegała nie tylko na cotygodniowej projekcji poprzedzonej prelekcją, a zakończonej dyskusją. Ważną rolę pełniły przeglądy twórczości poszczególnych gigantów kina (Bergmana, Viscontiego, Rene Claira, Bunuela, Saury, Antonioniego, Felliniego, Polańskiego) lub kinematografii narodowych (węgierskiej, niemieckiej, skandynawskiej), a także Wakacyjne Studia Wiedzy o Filmie. Gościliśmy całą czołówkę polskiego kina z Munkiem, Wajdą, Zanussim, Kieślowskim czy Piwońskim. Należałoby tutaj także dodać, że idea Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych zrodziła się również w środowisku DKF-u. Pomysłodawcą i pierwszym organizatorem tego festiwalu był przecież Lucjan Bokinić.

Chciałbym teraz poprosić przedstawicieli twórców kultury w naszym środowisku o powiedzenie kilku słów na temat ich form działalności. Znają te agendy od środka, więc czują problemy najlepiej.

Marek Biziuk
Wydział Chemiczny

SŁOWO O CHÓRZE

Dzisiejsza statutowa forma chóru ma swój początek w październiku 1965 roku, jednakże historia działalności muzycznej studentów Politechniki Gdańskiej jest prawie o osiemnaście lat dłuższa.

W uczelni tej na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ruch studencki jest niezwykle prężny. Ruch muzyczny, a w szczególności działalność chóralska, znajduje w środowisku uczelni technicznej bardzo podatny grunt. Ambicją młodych zapaleńców śpiewu było pójście w ślady i dorównanie znakomitemu już wówczas, o międzynarodowej sławie dzięki zasłu-

gom profesora Tylewskiego, Chórowi Akademii Medycznej w Gdańsku.

W Politechnice Gdańskiej powstaje zespół instrumentalny założony przez Zbigniewa Chwedczuka - późniejszego dyrektora Filharmonii Bydgoskiej, a potem Opery i Filharmonii Bałtyckiej. Kolejnymi animatorami życia muzycznego w gdańskiej Alma Mater są: wybitny polski kompozytor - Henryk Jabłoński, Roman Snarski, Longin Organista, Leon i Ireneusz Łukaszewscy, Jerzy Partyka i Jacek Ujazdowski.

Pierwsze próby założenia zespołu śpiewaczego mają miejsce w latach 1948/49. Powstaje ponad stuosobowy chór męski założony przez, wspomnianego już wyżej, Zbigniewa Chwedczuka. Działa niestety krótko, w bardzo trudnych i skomplikowanych warunkach powojennych. Dalsze próby założenia zespołu śpiewaczego mają miejsce w 1958 roku z inicjatywy Leona i Ireneusza Łukaszewskich. Ostateczne jednak narodziny działającego nieprzerwanie do dziś chóru następują w październiku 1965 roku, po połączeniu zespołu madrygalistów oraz studenckiej orkiestry kameralnej. Powstaje kilkunastoosobowy chór kameralny - **Collegium Academicum Musicae Antiquae** (*Akademicki Zespół Muzyki Dawnej*, skrót: **CAMA**) działający równocześnie ze świetną orkiestrą jazzową Politechniki Gdańskiej - **Flamingo**. Kierownictwo muzyczne chóru obejmuje młody gdański kompozytor - absolwent ówczesnej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Gdańsku - Andrzej Lewandowski, którego wielkim mistrzem jest, odwiedzający w późniejszym czasie Politechnikę Gdańską, wybitny polski kompozytor - Witold Lutosławski.

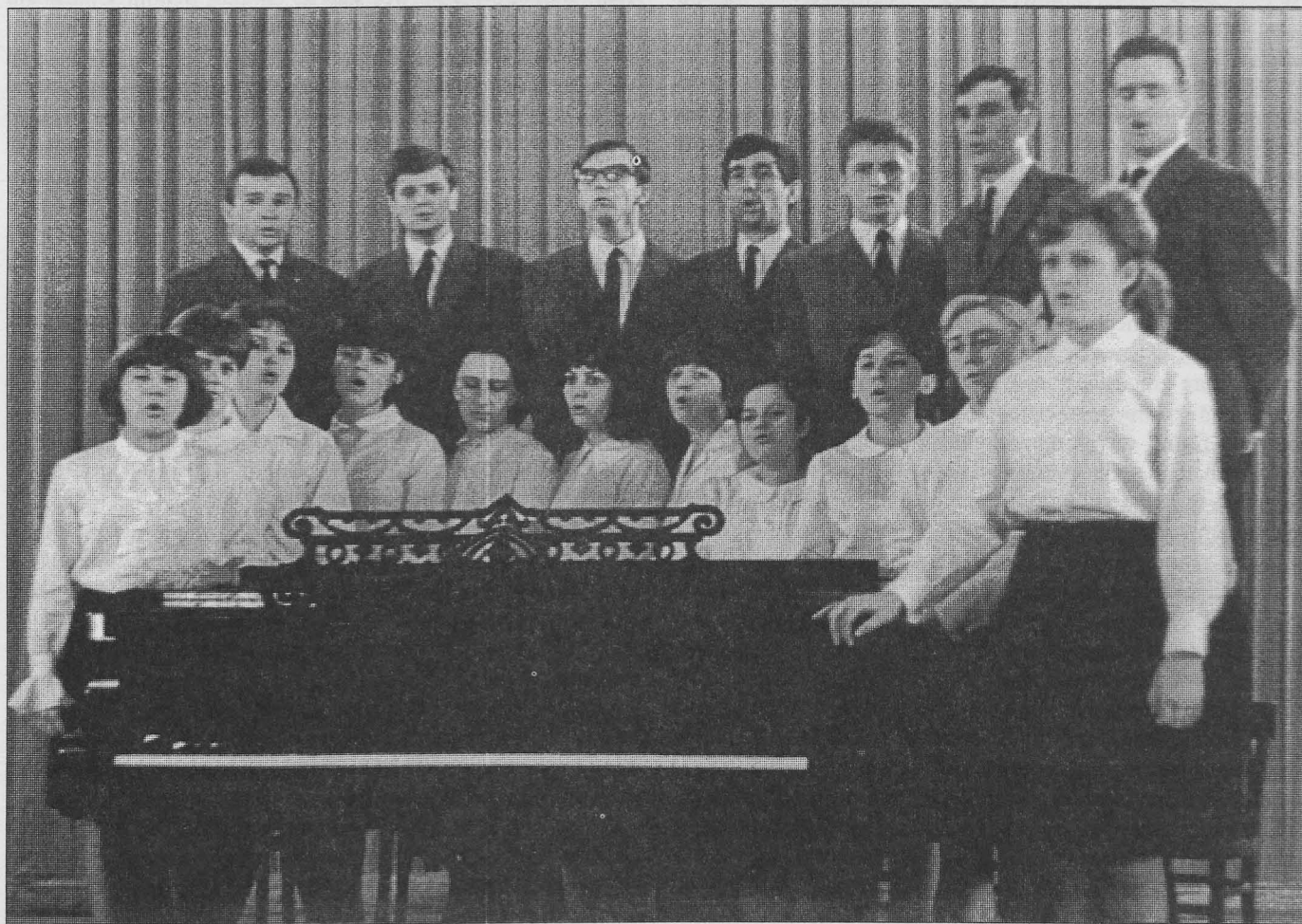
Wobec narastającego zainteresowania muzyką chóralną początkowo mały zespół rozrasta się i w styczniu 1968 roku przyjmuje oficjalnie status **Chóru Politechniki Gdańskiej**, liczącego już wówczas pięćdziesięciu chórzystów. Liczebność jego nadal wzrasta, tak by na początku lat siedemdziesiątych sięgnąć liczby około stu osób, a potem, od połowy lat siedemdziesiątych, powtórnie ustabilizować się na poziomie około pięćdziesięciu osób.

W składzie osobowym chóru dominują studenci, absolwenci i pracownicy Politechniki, są także ludzie z innych środowisk,

w tym także z innych uczelni Trójmiasta. Jest to cecha wspólna dla wszystkich chórów akademickich na terenie całego kraju. W późniejszych latach chórzyci z Politechniki śpiewają w innych chórach środowiskowych i akademickich na terenie Trójmiasta, w tym także w Chórze Filharmonii Bałtyckiej. Spośród tego grona wywodzą się również późniejsi śpiewacy zawodowi i aktorzy teatrów muzycznych.

Dyrygentami chóru są kolejno: **Andrzej Lewandowski** (1965 - 1980), **Jan Łukaszewski** (1980 - 1992), **Mariusz Mróz** (od 1992 r.). Z osobami dyrygentów kojarzą się trzy etapy działalności zespołu.

W pierwszym etapie, przypadającym głównie na lata siedemdziesiąte, zespół działa bardzo samodzielnie, rozwijając działalność artystyczną i organizacyjną, zdobywając coraz większe uznanie i poparcie władz uczelni, całego środowiska akademickiego, a także kulturalnego środowiska Trójmiasta. Wszystko dzieje się za przyczyną niezwykle zaangażowania dyrygenta i chórzystów, którego pozytywne skutki zauważa się zarówno na bieżąco, jak też odczuwa się w dalszych latach działalności i aż po dzień dzisiejszy. Są liczne koncerty na terenie uczelni i w salach koncertowych Trójmiasta, w tym także na scenie Teatru Wybrzeże, w innych miastach Polski i za granicą. Chór bierze udział w kilku konkursach krajowych, zdobywając w nich nagrody i wyróżnienia, dokonuje także szeregu nagrań radiowych i telewizyjnych - studyjnych oraz bezpośrednio z koncertów na żywo. Do najbardziej znaczących należy tu zaliczyć nagranie koncertu dla Radia Europa za pośrednictwem Radia Francuskiego - dokonane w Auli Uniwersytetu w Aix-en-Provence w 1972 roku.



Chór PG, luty 1967 r. (fot. S. Figlarowicz)



W środowisku chóralnym zespół zasłynął z przepięknego, bardzo cichego i soczystego *piano* i w tym był wówczas niepokonany. W czasie jednego z zagranicznych tournée koncertowych do Leningradu (obecnie: Sankt Petersburg) chór dokonuje studyjnego nagrania radiowego, podczas którego nie może nagrać swojego *piano*, bo jest ono cichsze od szumów radiostacji!!!

W latach siedemdziesiątych zespół działa pod patronatem Związku Kompozytorów Polskich i w tym okresie wybitny polski kompozytor - **Witold Lutosławski** - przyjmuje **honorowe członkostwo Chóru Politechniki Gdańskiej**.

W roku 1976 powstaje Teatr Wokalny Chóru Politechniki Gdańskiej, działa on przez około dwa lata, współpracując z Filharmonią Bałtycką oraz Teatrem Wybrzeże, i wykonuje przede wszystkim utwory swojego dyrygenta.

Repertuar koncertowy jest bardzo bogaty i zróżnicowany. Zawiera utwory z różnych epok, począwszy od muzyki dawnej (z chorałem gregoriańskim włącznie) poprzez barok i romantyzm do muzyki współczesnej. Są to w zdecydowanej większości małe formy muzyczne na chór a capella. Położony jest olbrzymi nacisk na wykonywanie utworów współczesnych, a w szczególności utworów kompozytorów polskich. Przyswiewca temu następująca zasada: "W czasach Bacha, Mozarta, Chopina grano muzykę Bacha, Mozarta, Chopina oraz muzykę starszych mistrzów, wobec tego dzisiaj należy wykonywać muzykę Pendereckiego, Lutosławskiego, Góreckiego, nie zapominając jednakże o minionych epokach".

Drugi etap działalności chóru przypada na lata osiemdziesiąte, gdy kierownictwo artystyczne obejmuje znakomity gdański chórmiistrz - Jan Łukaszewski. Zespół, już bogaty w doświadczenia z minionego okresu, rozwija i wzbogaca swój zakres działalności artystycznej. Do małych form dołączone są duże formy muzyczne - msze, oratoria i kantaty. Wykonywane są dzieła najwybitniejsze. Nawiązywane są kontakty z orkiestrami filharmonicznymi Gdańska, Koszalina, Słupska. Działalność chóru nabiera dużego rozmachu.

W tym okresie Zespół jest członkiem Polskiego Związku Chórów i Orkiestr. Zapoczątkowana jest pierwsza, może jesz-

cze bardzo ostrożna forma integracji akademickiego środowiska chóralnego na Wybrzeżu Gdańskim. Na bazie chóru politechnicznego rozpoczyna kilkuletnią działalność Gdański Chór Akademicki. Zostaje nawiązana ścisła współpraca ze znakomitym, o międzynarodowej sławie, chórem **Schola Cantorum Gedanensis**. Wszystkie te kontakty kojarzą się z osobą dyrygenta - Jana Łukaszewskiego - a zapoczątkowana jednocześnie współpraca dyrygentów wzbogaca doświadczenie Zespołu.

W repertuarze, oprócz dużych form muzycznych, są także małe formy - a capella, z którymi chór odbywa dziesięć tournée koncertowych po Europie oraz Azji z bardzo bogatym terminarzem koncertowym oraz udziałem w pięciu festiwalach i konkursach międzynarodowych, w których zdobywa nagrody i wyróżnienia. Najbardziej znaczące są tu dwie drugie nagrody - w kategorii chórów mieszanych oraz w kategorii chórów żeńskich, uzyskane w roku 1987 w Cantonigrós w Hiszpanii na festiwalu - **Festival Internacional de Musica**.

W tym samym roku Chór Politechniki Gdańskiej zdobywa pierwsze miejsce w Konkursie Zespołów Akademickich Polski Północnej. Rok 1987 jest dla Zespołu rokiem szczególnym, gdyż akademicy śpiewacy z Politechniki śmiało wkraczają do ścisłego grona najlepszych chórów w Polsce.

O ile w latach siedemdziesiątych mówiło się, że chór ma znakomitą formację sopranów, to w latach osiemdziesiątych zespół uzyskuje w całości znakomite wyrównanie głosowe, dobrą emisję oraz wielką elastyczność dynamiczną. Wśród słuchaczy zaczynają krążyć opinie, że w czasie koncertu, niezależnie od skali jego trudności, nie zauważa się jakiegokolwiek niedyspozycji chóru. Rzeczywiście! Zespół nabywa tę wspaniałą umiejętność, w której najwyższą koncentrację i zaangażowanie osiąga w dniu koncertu. Jest to niewątpliwie dorobek już wieloletniego doświadczenia.

W roku 1992 kierownictwo muzyczne chóru przejmuje młody, bardzo utalentowany chórmiistrz, absolwent Akademii Muzycznej w Gdańsku - Mariusz Mróz - dając początek trzeciemu okresowi działalności zespołu. Obiektywne podsumowanie tego okresu może być dokonane dopiero za lat kilkanaście, ale już teraz wyraźnie zarysowały się charakterystyczne cechy. Jest

olbrzymia aktywność artystyczna. Chór śpiewa utwory á capella, odzyskując w nich swoje słynne sprzed dwudziestu laty *piano*, tym razem wzbogacone znacznie lepszą dynamiką. Wykonuje także duże formy muzyczne. Zaangażowany w cykl przedstawień Teatru Muzycznego w Gdyni zespół wraca na scenę teatralną, nawiązując tym samym do tradycji Teatru Wokalnego z lat siedemdziesiątych, ale tym razem na znacznie wyższym poziomie artystycznym i wokalnym.

W drugim i trzecim okresie wykonano łącznie dwadzieścia cztery duże dzieła oratoryjno-kantatowe i przedstawienia teatralne, z czego na trzeci okres, liczący już siedem lat, przypada jedenaście dużych form zaśpiewanych na około pięćdziesięciu koncertach. Duży udział w tej liczbie ma Teatr Muzyczny w Gdyni, w którym wystawiano, z udziałem Chóru Politechniki Gdańskiej, "Nieszpory Ludźmierskie" Jana Kantego Pawluśkiewicza. Przedstawienie to zostało uznane w Polsce za wydarzenie artystyczne 1994 roku.

Jesienią 1993 roku Chór Politechniki Gdańskiej zapoczątkowuje w Polsce koncerty muzyki poważnej w ramach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy prowadzonej przez Jerzego Owsiaka, wykonaniem "Stabat Mater" Gioacchino Rossiniego. W grudniu 1994 roku, zespół, wspólnie z Chórem Opery Bałtyckiej, solistami i Orkiestrą Akademii Muzycznej w Gdańsku, wykonuje niezwykle trudne dzieło - "Quo vadis" Feliksa Nowowiejskiego. Jest to prawykonanie tego utworu na Wybrzeżu Gdańskim i jedno z nielicznych wykonań w kraju i za granicą.

Koncerty Chóru Politechniki Gdańskiej zaczynają kwalifikować się do poziomu wydarzeń muzycznych. Jakby potwierdzeniem tego stają się słowa rektora tej uczelni, który po wykonaniu "Quo vadis", w gronie przedstawicieli środowisk akademickich z całej Polski, powiedział niezwykle zobowiązujące zdanie: "*Jestem dumny ze swojego Chóru*".

Poza aktywnością koncertową rozwija się, przy bardzo wydajnej pomocy władz uczelni, inna, niezwykle ważna i ciekawa forma działalności muzycznej. W styczniu 1968 roku zostaje zapoczątkowany - i trwa nieprzerwanie po dzień dzisiejszy - cykl **Politechnicznych Wieczorów Muzycznych**, w którym mają miejsce koncerty, spotkania autorskie i seminaria.

W Politechnice Gdańskiej goszczą wybitni muzycy - kompozytorzy i wykonawcy: śpiewacy, instrumentalści, soliści, zespoły kameralne i orkiestry symfoniczne. Rozwija się współpraca pomiędzy Politechniką a Państwową Operą i Filharmonią Bałtycką oraz Państwową Wyższą Szkołą Muzyczną - później Akademią Muzyczną w Gdańsku. Wśród wybitnych wykonawców są, między innymi, Capella Bydgosciensis, Kwartet Wilanowski, Schola Cantorum Gedanensis, Capella Gedanensis, Kaja Danczowska, Konstanty Andrzej Kulka, Stefania Toczyńska, Henryk Jabłoński, Witold Lutosławski, i inni.

Znamienne w trzecim okresie działalności Zespołu jest ciekawe wzbogacenie cyklu Politechnicznych Wieczorów Muzycznych o cykl koncertów kameralnych pod hasłem "Akademia Muzyczna na Politechnice", realizowanych z inicjatywy obecnego dyrygenta chóru - Mariusza Mroza, przy ścisłej współpracy władz obu Uczelni. Zespół także włącza się aktywnie w życie społeczno - kulturalne Wybrzeża, uczestnicząc w takich akcjach, jak: Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, koncert na rzecz ofiar wojny w byłej Jugosławii, pomoc ofiarom pożaru w Hali Stoczni Gdańskiej. Przy okazji nie sposób nie wspomnieć o wydarzeniu, które Politechnikę Gdańską stawia w gronie tych wiodących europejskich uczelni technicznych, które bardzo aktywnie rozwijają działalność kulturalną. Można tu podać za przykład Politechnikę Budapeszteńską, Politechnikę Helsińską, również inne politechniki europejskie oprócz chórow mają swo-

je orkiestry symfoniczne. Politechnika Gdańska bardzo aktywnie współpracując z Filharmonią Bałtycką, udostępnia do działalności koncertowej salę Auditorium Novum. Wspomniane fakty stawiają tę uczelnię Wybrzeża Gdańskiego w gronie sponsorów kultury i sztuki.

W minionym okresie ponad trzydziestu lat Chór, tak jak każdy żywy organizm, przeżywa na przemian okresy trudne i łatwe. Nie są mu obce porażki, ale jednocześnie, z roku na rok, odnosi coraz większe sukcesy.

Nad rozwojem artystycznym i wykonawczym zespołu czuwali i czuwają znani artyści Opery i Filharmonii Bałtyckiej, Teatru Wybrzeże oraz gdańscy pedagodzy muzyczni: Grzesław Wielikaniec, Krystyna Ingersleben-Borowska, Roman Heising, Zygmunt Kamiński, Marian Kołodziej, Beata Koska-Kreft. Wielkimi przyjaciółmi Chóru pozostają: rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Gdańsku - Roman Heising, wybitny polski chórmistrz - Stanisław Krukowski, Barbara i Grzegorz Suttowie i inni. Zespół koncertuje pod batutą dyrygentów takich, jak: Bogdan Jaromłowicz, Zygmunt Rychert, Janusz Przybylski, Jacek Rafał Delekta, Joshard Daus. Współwykonawcami wielkich dzieł są liczni artyści polscy i zagraniczni. Wśród solistów można wymienić między innymi takie nazwiska, jak: Bogusław Grabowski, Piotr Prońko, Barbara Sanejko, Maria Venuti, Jagna Jędrzyńska, Wiesława Maliszewska, Aleksandra Kucharska-Szeffler, Hanna Banaszak, Beata Rybotycka, Jerzy Artysz, Ryszard Minkiewicz, Leszek Skrla, Paweł Skałuba, Tomasz Rakocz, Cezary Rotkiewicz, Grzegorz Turnau, Zbigniew Wodecki, Jacek Wójcicki i inni, oraz chóry: Chór Konzertverein z Bremen, Chór Kameralny z Mainz, Chór Akademii Medycznej w Gdańsku, Chór WSP w Słupsku, Chór Uniwersytetu Gdańskiego, Sopocki Chór Kameralny CONTINUO. Spośród zespołów muzycznych, które zapisały się we współuczestnictwie koncertowym, należy w szczególności wymienić Gdańską Grupę Perkusyjną Piotra Sutta - "Jeunesses Musicales".

Śpiewacy z Politechniki mają wielu sympatyków i przyjaciół. W gronie zespołu są i tacy, którzy odeszli już na zawsze od Chóru i od swoich najbliższych. Są to: Zofia Siembida, Joanna Ingersleben, Czesław Pietraszewski, Andrzej Lewandowski, Bożena Łastowska.

Cześć Ich Pamięci!

Według oszacowań przeprowadzonych na podstawie wspomnień byłych i aktualnych członków Chóru oraz na podstawie dostępnych, niestety, mocno rozproszonych zapisów, Chór Politechniki Gdańskiej w minionym okresie trzydziestu czterech lat wykonał około trzystu czterdziestu pełnometrażowych koncertów, nie wliczając w to licznych występów okolicznościowych. Bogactwo tej bezinteresownej działalności jest osiągnięte dzięki ofiarnemu i bardzo aktywnemu wysiłkowi kilku pokoleń chórzystów i dyrygentów, zapoczątkowanemu w pierwszych latach działalności Chóru. Te bardzo pracowite początki odnoszą prawdziwy pozytywny skutek po wielu latach, bo taka jest natura każdego wielkiego wysiłku, który pozwala na wypracowanie tradycji i właściwego klimatu. W środowisku uczelni i w kulturalnym środowisku Trójmiasta wytworzyła się i stale się utrzymuje niezwykle przyjazna akceptacja Chóru, czego konsekwencją jest działalność śpiewacza nieprzerwana od połowy lat sześćdziesiątych, mimo różnorakich, szczególnie w ostatnich latach, dobrze znanych trudności.

CZEŚĆ PIEŚNI !!!

*Zdzisław Kusto
Wydział Elektrotechniki i Automatyki*

BAZUNA i turystyka studencka

- nieodłączna część kultury studenckiej

W 1964 roku powstał Studencki Klub Turystyczny AZS-ZSP-PTTK Politechniki Gdańskiej "Fify". "Fify" włączyły się po okolicy, po górach, rzekach i jeziorach i stanowiły zawsze bardzo zaprzyjaźnioną klikę. Z czasem "Fify" zaczęły dawać coś z siebie środowisku akademickiemu PG i Gdańska, występując w roli organizatorów turystyki. Coraz więcej było rajdów, zjazdów, wypadów, spływów, obozów wędrownych, zimowisk - zawsze z gitarą i śpiewami przy ognisku. Na PG powstały i dobrze się bawiły liczne KOT-y, wydziałowe



kluby organizatorów turystyki. Doszło do tego, że stare "Fify" organizowały obozy dla studentów roku zerowego - jeszcze przed rozpoczęciem zajęć na uczelni zaczynała się ta podstępna indoktrynacja. Młodzież studencka zaczynała włączyć się i śpiewać wcześniej niż uczyć w szacownej naszej szkole. I tak szerzyła się ta zaraza, z roku na rok zataczając coraz szersze kręgi.

Wiosną studenci PG organizowali Rajd "Pierwiosniki", jesienią zaś Rajd "Opadające Liście". Uczestniczyli w nich studenci wszystkich uczelni Trójmiasta. Studenci PG chodzili, oczywiście, na rajdy organizowane przez studentów innych gdańskich uczelni. Upowszechniła się również moda na udział w rajdach organizowanych przez różne ośrodki akademickie. Latem zaś zawsze jeździło się w góry. Wiosną, jesienią i zimą - też. A na każdej imprezie turystycznej odbywały się zbiorowe śpiewy, z akompaniamentem gitary lub bez, co wszakże zdarzało się rzadko.

Cóż zwykli śpiewać studenci-turyści?

Ano, jak się chciało śpiewać, to śpiewano wszystko. Śpiewano piosenki harcurskie i pieśni biesiadne (choć gali nie było i nikt nie znał tak nobilitującego określenia gatunku, a biesiadowano przy piwie i kiełbasie zwyczajnej, smażonej nad ogniskiem). Śpiewano pieśni żołnierskie i partyzanckie, pieśni zesłańców i wólczegów. Śpiewano dumki ukraińskie i rosyjskie, pieśni góralskie polskie i słowackie.

Studenci namiętnie śpiewali ballady Bułata Okudźawy i Włodzimierza Wysockiego. Kochali ich wiersze i muzykę. Śpiewali po polsku i po rosyjsku. Język rosyjski był często słyszany przy ognisku, dusza polska z nim współgrała. Śpiewano więc chętnie także stare smętne pieśni z Syberii czy wesołe przyspiewki. A jakże to było dalekie od polityki, od oficjalnej propagandy. Może jednak dzięki tym "zaprzyjaźnionym" poetom i ich balladom wielu z nas uniknęło niechęci do Rosjan mimo propagandy proradzieckiej?

Studenci ze szczególnym upodobaniem jeździli w Bieszczady i w Beskid Niski. Tam były połoniny, był dziki las, natrafiało się na ślady przeszłości polsko-ukraińskiej. Po ludzkich siedzibach zostały gdzieś fundamenty, samotny komin czy zdziczały sad. Cerkiewki, Łemkowie, Kresy - budziło się zainteresowanie historią, zaduma nad ludzkim losem i uczuciami. Stara pieśń pomagała doznać, zrozumieć, zaakceptować ludzi i świat. Śpiewanie i wólczega dawały uczucie wolności. Może dlatego turystyka studencka była tak atrakcyjna dla bardzo wielu ludzi w epoce PRL-u?

Miłośnicy gór stawali się miłośnikami piosenki. Wrocławscy studenci stworzyli fantastyczną imprezę - Giełdę Piosenki Turystycznej w Szklarskiej Porębie.

"Fify" pozazdrościły wrocławiakom i w listopadzie 1971 roku zorganizowały w Gdańsku, w Klubie "Żak", Jesienny Ogólnopolski Przegląd Piosenki Turystycznej "Bazuna".

Tak jak wzór kaszubski na klubowym znaczku fifowskim, tak i nazwa Przeglądu Piosenki "Bazuna" zaznaczała związek studentów-turystów PG z regionem. Bazuna to kaszubski instrument muzyczny podobny do trąbity, rodzaj trąby o długości ok. 2 m. Ale studenci-turyści zjechali na "Bazunę" z całej Polski. Były występy grup i solistów śpiewających i grających, były popisy kabaretów studenckich. Najlepiej bawiła się publiczność, siedząca gęsto na krzesłach i rusztowaniach budowla-



"Rajd Kaszubski" 1971 r



Rajd "Opadające liście", 1971 r.

nych, które znakomicie zwiększały pojemność sali "Żaka". Jednakże tylko przez dwa lata można było cieszyć się "Bazuną" w "Żaku". Jego stan techniczny zmusił organizatorów do zmiany lokalizacji imprezy. W kolejnych latach "Bazuna" odbywała się w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Gdańsku, w późniejszych - poza Gdańskiem, co zmieniło jej charakter i ograniczyło zasięg.

Zaczęło się od śpiewania dawno znanych pieśni przy ognisku. Z biegiem lat, dzięki przeglądowi piosenki turystycznej, repertuar piosenek turystycznych stawał się coraz bogatszy i bardziej różnorodny. Pojawiało się coraz więcej nowych piosenek autorstwa studentów-turystów. Niektórych piosenek tylko się słuchało, inne stawały się hitami rajdu, sezonu lub przechodziły do żelaznego repertuaru. Wykonawcy piosenek turystycznych stawali się gwiazdami piosenki, zawodowymi muzykami.

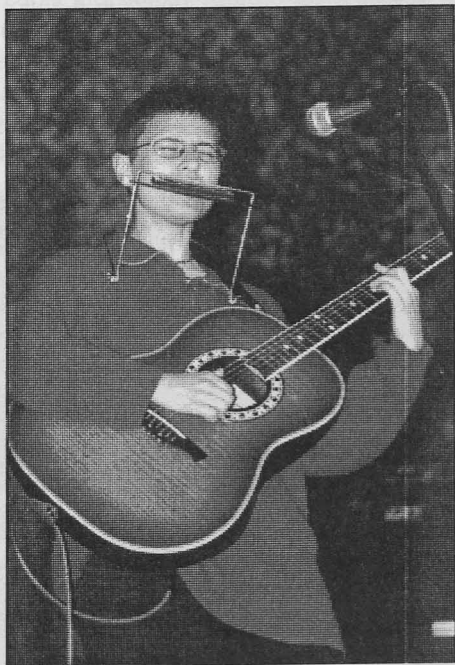
Na "Bazunie" śpiewały "Wały Jagiellońskie", "Nasza Basia Kochana", "Wolna Grupa Bukowina" z Wojtkiem Bellonem, Elżbieta Adamiak, późniejszy sławny tekściarz Jacek Cygan i wielu, wielu innych.

"Bazuna" dawała radość, zabawę i wiele przyjemności wykonawcom i organizatorom, ale nade wszystko słuchaczom-uczestnikom. Potwierdzała co roku, że choć nie na estradzie, ale głośno, radośnie i w przyjaznym tłumie "śpiewać każdy może".

Na pamiątkę czasów zauroczenia rajdami, przeglądami piosenki turystycznej i samym śpiewaniem studenci z lat siedemdziesiątych otrzymali, opracowany przez i wydany dzięki aktywności "Fifów" i ich przyjaciół, piękny i wielki śpiewnik - studencki turystyczny zbiór piosenki BAZUNA.

Na koniec, osobiste wspomnienie z podróży po ZSRR w roku 1988. Byliśmy z mężem gośćmi w ukraińskim domu. Gospodarze zaczęli śpiewać, a głosy kobiet były wyjątkowo piękne. Zaczęliśmy prosić o kolejne pieśni, podpowiadając ich tytuły bądź początek tekstu. Starsza pani zainteresowała się, skąd my - ludzie bez korzeni kresowych, ukraińskich czy rosyjskich - możemy znać ich pieśni. To proste - odpowiedzieliśmy - ze studenckich rajdów.

*Elżbieta Dudziuk
Absolwentka Politechniki Gdańskiej*



*Duet BEZ CUKRU, Łódź, wystąpił w roli gościa
- na zdjęciu K. Gortat*

Ogólnopolski Turystyczny Przegląd Piosenki Studenckiej
"Bazuna '99", 14-16.05.1999 r.
Harcerska baza obozowa "Cedron", Wejherowo
(fot. B. Patrzykat)



*Główny laureat imprezy, zespół SASKIA
wystąpił w koncercie wraz z przyjaciółmi;
po prawej stronie - wokalistka zespołu P. Hudzik*



Gość BAZUNY - zespół POLANA z Mirosławca

Słów kilka o długiej historii SAR-u

Kiedy pobierałem nauki w zacnym liceum na środkowym wybrzeżu nic - daję słowo - nie słyszałem o Agencji w odległym Gdańsku. Owszem, korzystałem nieco z dobrodziejstw Polskiego - legalnego - Radia i innych - wrażeń rzecz jasna stacji, ale żeby czegoś studenckiego?

Podjmując heroiczną zgoła próbę dostania się w progę słynnej także w Słupsku Politechniki, nie wiedziałem, że tym samym otwiera się szansa na przycięcie życia.

Stając się studentem Wydziału Łączności, otrzymałem bonus w postaci pokoju w równie słynnym co uczelnia Domu Studenckim nr 16 (obecny DS 6). Wiedziony instynktem trafiłem z kwatery na parterze na właściwe piętro, gdzie znajdowała się Kwatera Główna Studenckiej Agencji Radiowej. Ster wówczas krzepko dzierżył Wojciech Wójciak. Prapoczątki działalności SAR-u sięgają roku 1957, kiedy to powstało Biuro Informacji Studenckiej zwane BIS-em, utworzone dla opracowywania materiałów informacyjnych dla radiowęzłów w domach studenckich. W roku 1957 do BIS-u dołączyła grupa studentów Wydziału Łączności pod wodzą Andrzeja Guzińskiego. On to



*Wóz transmisyjny z zacięciem reporterskim,
lata 1970-72*



*Nasza konsola firmy "FONIA"
(dobra, bo polska), 1971 r.*

był pierwszym Redaktorem Naczelnym SAR-u. I wychodząc ze słusznego założenia, że struktury mafijne są najskuteczniejsze, zbudował podwaliny pod działalność agenturalną. Nazywano nas z czasem "trzecią siłą" w środowisku - po władzach uczelni naturalnie i działających organizacjach młodzieżowych.

SAR-owską rodzinę tworzyli studenci wszystkich uczelni Trójmiasta, w różnym wieku, różnej płci i o różnych poglądach. Nam było tam ze sobą dobrze. Nie były nam potrzebne kluby, knajpy, randki i tak dalej. To wszystko było na miejscu. Spotkania, odprawy, narady, kolegia, burze mózgów i oczywiście "długie Polaków rozmowy". Nikt się nie poświęcał dla sprawy, robił to, bo TO MU ODPOWIADAŁO. Mieliliśmy swoją antenę, na której każdy mówił swoim głosem, adresując swoje poglądy, przekonania, intelektualne zaczepki do rówieśników. Nie było w naszym programie polityki - co najwyżej kpina z niej, bądź "wolne" żarty. W takim na przykład magazynie o wdzięcznej nazwie "Dlaczego NIE?". Rzetelnie i z czasem z przymrużeniem oka informowaliśmy braci studentką w "Dyliżansie Aktualności". Muzyki było dużo i w różnej postaci, od "Taśmoteki szefa" poczynając, po rarytasy dla melomanów przygotowywane przez kompetentnych studentów - zwłaszcza urodziwe studentki - Najwyższej Szkoły Muzycznej.

Baza wymagała pieniędzy, a śladowe zgoła kwoty wyszarpywaliśmy z poczciwej politechnicznej Kwestury czy też Rady Okręgowej ZSP. Cenny sprzęt zdobywaliśmy również w pobliskiej Rozgłośni Polskiego Radia. Tu na antenie zjawialiśmy się różnie, w sposób stały zaś w comiesięcznej audycji "Niebieskie

Żagle". Dostojne "Duże Radio" w swojej łaskawości dało nam na ten magazyn cały kwadrans. Naturalnie były też inne audycje i występy. Warto wspomnieć o przychylności Naczelnego Redaktora Rozgłośni Stanisława Goszczurnego. Mający już ugruntowaną pozycję i sławę literat witał przedstawicieli SAR-u gromkim, jowialnym okrzykiem: "Czołem Agencji!". Agenci mruczac odważnie pod nosem, odpowiadali: "Czołem towarzyszu literacie". Osiągaliśmy sukcesy w postaci transmisji z PG - głównie z auli czy też KSW "Żak". Były to m.in. sesje Uczelnianego Parlamentu i podniosłe uroczystości, jak immatrykulacja czy też wręczenie dyplomów, rozliczne dysputy, występy kabaretowe, teatralne, muzyczne. Nagrania odbywały się także w naszym macierzystym studio. Kolejnym polem do działań transmisyjnych była "Kwadratowa", skąd przesyłaliśmy na antenę różnorodne imprezy z występami Kabaretu π włącznie. W jego składzie przez lata działał nasz wierny przyjaciel Jerzy CIEPIEL Ciepeliowski, wspaniały artysta - zarazem niezrównany humorysta.

Ekipy reporterskie jeździły na przykład na Festiwalu Kultury Studentów w Krakowie, skąd przywoziły laury z Pierwszą Nagrodą włącznie, czy też na Kongres ZSP w Warszawie (mieliliśmy tu wyłączność na obsługę radiową, a ekipą dowodził ówczesny Naczelny Redaktor Andrzej KIM Nowak). Nie wolno zapomnieć - w życiu - o SAR-owskich szopkach. Jedna triumfowała także na krakowskim Festiwalu. Były to wyczyny, które zespoliły powstające ad hoc zespoły. Każdy miał szansę



*Polscy elektrony nad angielską
konsolą*



*Zespół SAR a Banda w nagraniach
jeszcze nie płytowych*



*Nasze zasoby
w naszej taśmotece*

zagrać "rolę swego życia" - niekoniecznie zaraz Hamleta, ale coś skromniejszego.

Jak z tego widać, nie uprawialiśmy monokultury, wąskiej specjalizacji. Byliśmy dobrzy i informacyjnie, i publicystycznie, i kulturalnie - słowem: artystycznie. Może trochę zaniedbaliśmy zagadnienia sportowe czy też rolno-spożywcze, ale te wątki pojawiały się w innych pozycjach, czasem zgoła kabaretowych. Było więc na antenie wszystkiego po trochu, z koncertem życzeń włącznie.

SAR zawierał rozmaite sojusze. A to z "Kroniką Studenczką", Klubem Płetwonurków "Rekin", AZS-em, Techno-Servisem, teatrami i klubami, nawet gazetami. Osobną, chlubną kartę zapisały w działalności studenckiego radia osoby z zacięciem teatralnym, poczynając od A. Guzińskiego. SAR zrealizował kilkanaście słuchowisk będących głównie adaptacjami powieści czy też opowiadań. Niewątpliwie największą Damą SAR-u była Aleksandra Baraniak z niewiarygodnym wyczcuciem radia i miłością do teatru. W tych i innych przedsięwzięciach błyszczał m.in. Waldemar SZMAJA Szałtynis z Wydziału Elektrycznego. On to zasłynął głównie jako wielofunkcyjny spiker z aksamitnym głosem, bodaj najlepszym w historii SAR-u. Natomiast największym technicznym i organizacyjnym szama-



Transmitowany z KW "Żak" przez SAR Przegląd Piosenki Turystycznej BAZUNA

wali, łowili, rozmawiali, dyskutowali, kłócili, budowali kolejną Rzeczpospolitą, zawsze przysięgając sobie wierność "aż po grób". Były oczywiście zażarte rozgrywki sportowe, zawody kajakowe, rajdy na nartach wodnych, regaty żeglarskie. Naturalnie także ogniska i kominki, występy, spotkania z zapraszającymi gośćmi. Grzyby, ryby, słońce i wielkie radiowe dywagowanie.

Co jeszcze dodać do tak jedynie naszkicowanego obrazu Agencji, wielkiej przygody mojego życia, bodaj najważniejszego "uniwersytetu". Szkoły zawodu, nauczyciela reguł życia w zespole, odpowiedzialności i sposobów bycia według pomysłów akceptowanych przez większość. Bez przymusu, z własnego wyboru, dla własnej przyjemności i przeżycia czegoś ekscytującego, czego nie spotka się byle gdzie. To miejsce - to było Eldorado w dowolnym rozumieniu tego słowa.

Tego miejsca już nie ma, nie ma takich poszukiwaczy przygód jak my. Zmieniły się czasy, zasady i priorytety. Tamte, jak sądzę, wypracowane przez nas zawsze pozostają aktualne, bo służą zbiorowości, dobrze służą i pomagają kiedy trzeba.

I oczywiście wszędzie, przy każdej okazji był gwizd i bojowe zawołanie: "Action station" - GO". A w tak zwanym międzyczasie wznosiliśmy pospolity toast: "No niech żyje, kto musi!".

Dzisiaj, niestety, SAR-u już nie ma. Gdyby był, to na antenie byłaby transmisja z tej bardzo zajmującej sesji. Zatem naprawdę szkoda. Teraz to od was - obecnych studentów i parlamentarzystów zależy, czy to znowu będzie "sezon kolorowych chmur" w nowej, radiowej rzeczywistości.

Mieczysław Serafin

Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki



SAR-owskie bractwo spacerowo-turystyczne

nem był niezrównany Mag w tego rodzaju "szachach" Witold GIZENGA Godzwon. Człowiek o niespożytej energii, niestrudzony miłośnik gier zespołowych i anteny przede wszystkim.

Warto także dodać, że w naszych poczynaniach były - a jakże - "akcje socjalne". Specjalnością SAR-u były przede wszystkim obozy szkoleniowo-wypoczynkowe. Przez lata, na ogół we wrześniu, odbywały się z reguły udane, dwutygodniowe spotkania nad jeziorami. Nasze ulubione miejsce to ośrodek Techno-Servisu we wsi Rybaki koło Kościerzyny, ale również nad jeziorem Narie w bazie Klubu "Rekin". Biwakowaliśmy także w Czarlinie nad Jeziorem Wdzydzkim. Odpoczywaliśmy, pły-



Gorące dyskusje w czasie jesiennego obozu w "Babie Jadze" nad J. Narie



Redaktor naczelny SAR-u M. Serafin wręcza I nagrodę W. Masłykowi

KRONIKA STUDENCKA

Trochę wspomnień i jedna refleksja

Kronikę redagowaliśmy zazwyczaj nocą. Wybór zdjęć, układ, napisanie tekstów, narysowanie tytułów, sporządzenie makiety - zajmowało nam czas do rana. Wieszałyśmy ją, gdy pierwsi studenci i pracownicy pojawiali się na uczelni. Często gablotę otaczał wianuszek czytelników. Wówczas mieszałyśmy się z oglądającymi, by obserwować ich reakcje. Nie zarywali- byśmy nocy (i studiów), gdybyśmy nie czuli akceptacji czytelników.

Kronika powstała w 1958 roku. Najpierw była to mała drewniana gablotka stojąca na skwerku z prawej strony głównego wejścia. W grudniu 1959 r. studenci Wydziału Architektury T. Jasiński i O. Olszewski zaprojektowali nową gablotę, którą ustawiono w holu głównym na parterze. Od tego też czasu, kolejne wydania Kroniki zaczęto opatrywać numerami. Pomysł wydawania Kroniki narodził się w głowie Wincentego Kościelickiego, ówczesnego kierownika Wydziału Informacji i Propagandy Komitetu Wykonawczego Uczelnianego Parlamentu Zrzeszenia Studentów Polskich; on też był pierwszym jej redaktorem. Dość szybko z rąk Wicka przejął redagowanie Mieczysław Stańczak. Mimo upływu wielu lat i wielu zmian organizacyjnych Kronika funkcjonuje do dzisiaj.

Jak to pamiętam

Do współpracy z Kroniką zaprosił mnie w październiku 1961 r. jej nowy redaktor Stanisław Kmiecik, pełniący jednocześnie funkcję wiceprzewodniczącego KW UP ZSP. Tę ostatnią funkcję Staszek niedługo rzucił, bowiem stworzony przez niego zespół potraktował swoją pracę jako wielkie wyzwanie i dziennikarską przygodę, angażując cały swój czas w redagowanie gazetki ściennej, która w naszym zamierzeniu miała być regularnie i pomysłowo wydawanym magazynem ilustrowanym.

Zespół redakcyjny składał się wówczas z trzech mieszkańców DS 17 przy ul. Konrada Leczkowa (obecnie DS 7). Tym trzecim był Witold Sanecki, który jak i Staszek studiował chemię. Ja byłem elektrykiem, choć niedługo miałem zmienić wydział na elektronikę, a mieszkańcem siedemnastki byłem z tytułu prowadzenia radiowęzła. Redagowanie Kroniki spadło na mnie dość niespodziewanie, byłem wówczas akustykiem działającym w "Żaku" zespołów estradowych - kabaretu TO TU, teatrzyku BIM-BOM i rodzącego się właśnie "Cyrku rodziny Afanasjeff". Współpracy z "Żakiem" nie zerwałem, łą-



"Wkraczamy do Bytowa", AKT, lata 60. (archiwum S. Figlarowicz)

czyłem ją z pracą w Kronice, oczywiście kosztem studiów, które ukończyłem dopiero w roku 1965, w dziesięć lat od ich rozpoczęcia. Dzięki temu, że nasza trójka nie zajmowała się fotografią, cały swój czas przeznaczaliśmy na generowanie i próby realizacji różnych pomysłów związanych z redagowaniem oraz z kształtem plastycznym, wizualnym i literackim Kroniki. Oficjalne teksty pisali zazwyczaj Staszek i Witek, ja rysowałem tytuły i wybierałem zdjęcia, zaś makieta i stopka były zwykle dziełem wspólnym. Dopiero po kilku miesiącach pracy zająłem się także fotografowaniem.

W momencie naszego startu autorami zdjęć byli dwaj studenci BO, Bohdan Biernacki i Janusz Charkiewicz, oraz dorywczo Zygmunt Grabowiecki.

Kiedy zaczynaliśmy pracę, Kronika nosiła numer poniżej 20, kiedy zaś w 1967 kończyłem współpracę z Kroniką - numeracja dobiegała 200. Ponieważ Kronika była dla nas przygodą, więc stała się swego rodzaju narkotykiem. Zaczęliśmy powiększać liczbę współpracowników, szczególnie fotoreporterów. Nowe numery powstawały co 10-14 dni, zawierały 25-40 fotografii, zwiększyła się też ilość tekstów, zaczęły się ukazywać reportaże, publicystyka i felietony, dużą wagę przywiązywaliśmy do treści i formy graficznej redakcyjnej stopki. Można powiedzieć, że była to produkcja mająca znamiona profesjonalizmu. Doświadczenie zdobyte w Kronice było rodzajem drugiego faktu- tetu artystyczno-dziennikarskiego, stojącego na tak dobrym poziomie, że w 1967 roku mogłem rozpocząć stałą współpracę z najlepszym wówczas ilustrowanym czasopiśmie, jakim był miesięcznik "Polska" (Zachód). W nowej redakcji znalazłem się obok tak znakomitych fotografów, jak Irena Jarosińska, Marek Holzman, Piotr Barącz i Tadeusz Rolke. Razem ze mną współpracę z "Polską" rozpoczęła druga kronikarka, moja ówczesna żona - Nina Smolarz. W trzy lata później zostałem przyjęty do Związku Polskich Artystów Fotografików. Dziś do ZPAF należy pięciu byłych kronikarzy, co najmniej drugie tyle uprawia fotografię zawodowo.

Gdzie pracowaliśmy

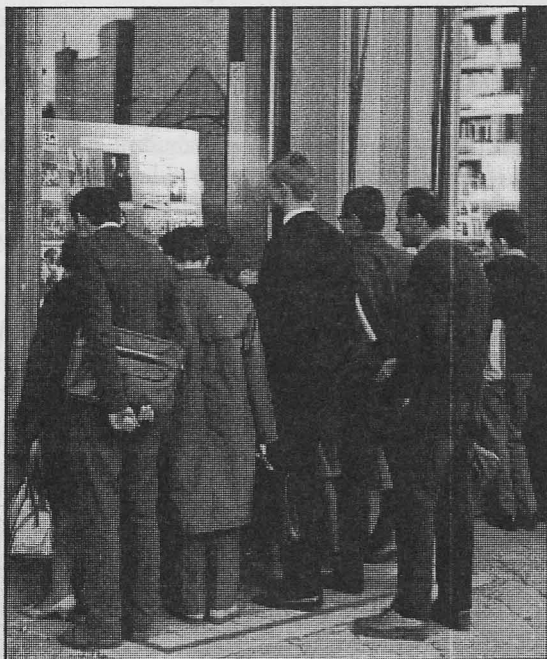
Na początku składaliśmy Kronikę we własnych pokojach w akademiku, sporadycznie w biurach ZSP w Bratniaku przy ulicy Siedleckiej. Kiedy w 1962 r. zacząłem pracę w Zakładzie Urządzeń Nawigacyjnych PG, Kronika zaczęła powstawać w laboratorium Zakładu wśród żyroskopów, logów i sekstantów. Dzięki wielu zabiegom w końcu 1964 roku otrzymaliśmy własne pomieszczenie - pokój 112 w DS 17 - oraz mała ciemnia. Obszerne pomieszczenia w Bratniaku Kronika dostała dopiero w latach 70.



"Kronika Studencka", hol główny PG, grudzień 1961 r.

Inicjatywy

Kronika była formą dziennikarską. Nasz zespół bardzo dbał jednak nie tylko o treść, ale także o wyraz artystyczny publikowanych fotografii oraz estetykę całości. Postanowiliśmy szukać nowych współpracowników poprzez konkursy. Pierwszy nosił tytuł "Studenckie lato 1961"; nadesłano nań 158 prac, jury w składzie: Kazimierz Lelewicz (przewodniczący) oraz Tadeusz Zink (obaj członkowie ZPAF), Erwin Elster (art. malarz) i Mieczysław Stańczak (marszałek Uczelnianego Parlamentu ZSP), przyznało pierwszą nagrodę Tadeuszowi Foltynowi z architektury. Podobny konkurs, tym razem pt. "Świat w oczach studenta" zorganizowaliśmy w 1964 r. Przewodniczącym jury był znowu wykładowca fotografii na architekturze Kazimierz Lelewicz oraz Zygmunt Wrześniowski (członek ZPAF, kierownik Katedry Budowy Dróg PG), Adam Gerżabek (art. malarz) i Bogumiła Makuch (wicemarszałek UP ZSP). Tym razem pierwszą nagrodę otrzymał piszący te słowa.



Pierwsza "Kronika" zewnętrzna
w witrynie księgarni przy ul. Miszewskiego

W tym samym 1964 roku postanowiliśmy utworzyć tzw. wydanie zewnętrzne Kroniki. Jego pierwszy numer ukazał się w październiku w witrynie księgarni przy ul. Grunwaldzkiej róg Miszewskiego. Ta ciesząca się dużą popularnością edycja przeżywała w różnych witrynach Wrzeszcza do początku lat 90.

Odpowiedzią na ciągoty artystyczne niektórych fotoreporterów Kroniki było powstanie w 1965 r. Gdańsko-Bydgoskiej Grupy Fotograficznej HOMO. Zorganizowali ją Wojciech Felcyn, Jerzy Narożny (studenci chemii) oraz niżej podpisany, a członkami byli prawie wszyscy kronikarze. Człon bydgoski w nazwie pochodził stąd, że Felcyn i Narożny pochodzili z Bydgoszczy, gdzie pozyskali patronat Kujawsko-Pomorskiego Towarzystwa Kulturalnego. W Gdańsku Grupie patronowało ZSP oraz GTPS. Brałem udział w trzech wystawach Grupy: w Filharmonii Bydgoskiej (tematyka muzyczna), na Politechnice ("Ludzie nauki") i w świetlicy Gdańskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego przy ul. Wejhera ("Na Budowie") - wszystkie odbyły się w 1966 roku.

Pierwszym przykładem wyjścia poza fotografię był zorganizowany w 1965 roku przez redakcję konkurs pod nazwą "Studencki Przetarg '65". Adresowany do studentów Politechniki, składał się z czterech działów tematycznych, była to fotografia,

rysunek, proza i poezja. Podobny konkurs zorganizowaliśmy jeszcze w roku 1967, rozszerzając go na wszystkie uczelnie techniczne w Polsce. W następnych latach organizatorem Przetargów był KW UP ZSP, który zmienił ich formułę na bardziej teatralną i kabaretową.

Kadry

Do dnia dzisiejszego przez Kronikę przewinęło się kilkaset osób. Kiedy w 1967 robiłem zestawienie nazwisk, wypisałem blisko sto osób, w tym 50 fotoreporterów. Nie sposób ich tu wymienić, wyliczmy więc naczelnych (których pamiętam): Wincenty Kościelecki (1958-59), Mieczysław Stańczak (1959-1961), Stanisław Kmiecik (1961-62), Witold Sanecki (1962), Władysław Bohdanowicz (1963), Stefan Figlarowicz (1963-66), Wojciech Felcyn (1966-68), Marian Nowak (od 1968). Dalszy ciąg, mam nadzieję, odtworzą młodszy. Marian Nowak zmarł w styczniu tego roku, nie miałem więc kogo dopytać.

Redagowanie kolejnych Kronik było wydarzeniem intelektualnym, ale także towarzyskim. Osoby, które potrafiły odbierać i współtworzyć specyficzną atmosferę, pozostawały w zespole na długo. Z mojej pracy najczęściej i najmilej wspominam przede wszystkim panie: Krystynę Radziwanowską, Annę Minkiewicz, Ninę Smolarz, Urszulę Madej, Alicję Giełdzik i Bożenę Waszak. Z panów należy wymienić wszystkich naczelnych oraz Jana Tomaszewicza, Włodzimierza Martina, Czesława Tumielewicza, Jerzego Narożnego, Andrzeja Widuchowskiego, Janusza Długońskiego, Zbigniewa Durkiewicza, Jana Dzierżanowskiego, Leszka Latosa i Antoniego Rojka. To oczywiście tylko wierzchołek góry.

Na zakończenie

Kiedy odwiedzam czasem dzisiejszych kronikarzy, cieszę się, że jakiś dobry duch nad zespołem unosi się nadal. Martwi mnie tylko jedno. Zespół stale się zmienia, tymczasem rośnie ilość bezcennych archiwaliów. Może nad nimi zapanować tylko zawodowy muzealnik lub archiwista. Z roku na rok przybywa dziur w klejonych pięknie przez architekta Zygmunta Durkiewicza albumach. Wyparowują gdzieś zdjęcia gromadzone w kopertach. Działalność Kroniki finansowała od początku Politechnika, także ona powinna znaleźć środki na profesjonalną opiekę nad archiwum Kroniki.

Stefan Figlarowicz

Kierownik Działu Fotografii w Muzeum Narodowym
w Gdańsku

(Wszystkie zdjęcia autora)

PS. Dziękuję bardzo za pomoc w napisaniu tekstu Bohdanowi Biernackiemu, Wojtkowi Felcynowi, Staszce Kmiecikowi i Wickowi Kościeleckiemu.



Październik 1964 r., N. Smolarz podczas składanie pierwszej
"Kroniki" zewnętrznej

Akademicki Klub Taneczny Politechniki Gdańskiej

W latach 60. w Polsce rodził się ruch tańca towarzyskiego. Najważniejszą rolę w popularyzacji tańca towarzyskiego w Polsce odegrały środowiska akademickie w latach 60., 70., a nawet 80. To kluby studenckie z takich ośrodków, jak Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań i Gdańsk miały największy wpływ na ten ruch.

Akademicki Klub Taneczny Politechniki Gdańskiej powstał w marcu 1968 r. Ten klub był symbolem silnego środowiska w ruchu tanecznym związanym z Gdańskiem. AKT PG był w latach 70. i 80. jednym z najlepszych klubów tanecznych w Polsce. W jego dorobku znalazły się znaczące osiągnięcia na arenie Polski. Wypada tu wspomnieć krótko o najważniejszych z nich, żeby przybliżyć właściwy wymiar pozycji na arenie ogólnopolskiej:

- ♦ dwukrotne klubowe mistrzostwo Polski,
- ♦ dwukrotne drużynowe mistrzostwo Polski,
- ♦ wicemistrzostwo Polski rodzących się w Polsce formacji tanecznych,
- ♦ indywidualne wicemistrzostwo Polski,
- ♦ indywidualne akademickie wicemistrzostwa Polski.

Te sukcesy przyczyniły się do popularyzacji tańca towarzyskiego w środowisku akademickim Wybrzeża. Tysiące studentów wszystkich uczelni Trójmiasta miały bezpośredni kontakt z Akademickim Klubem Tanecznym Politechniki Gdańskiej poprzez:

- ♦ kursy tańca,
- ♦ wieczory sympatka tańca, które odbywały się w klubie "Kwadratowa".

Organizowane przez AKT PG turnieje tańca towarzyskiego należały do najlepszych turniejów w Polsce. O widownię organizatorzy zawsze mogli być spokojni - zawsze zabrakło biletów.

Obecnie ruch ten zmierza w kierunku sportu. To wymusiło pewne działania, które mają na celu osiągnięcie wyniku na arenie międzynarodowej. Krótko mówiąc, dzisiaj w Polsce szkolenie par tanecznych rozpoczyna się z dziećmi. Pary, które rozpoczynają szkolenie w okresie studenckim, nie mają żadnych szans. Niestety, ruch taneczny jest dzisiaj innym ruchem. Zmieniło się to od momentu, gdy kluby studenckie przestały być studenckie.

AKT PG istnieje do dzisiaj. Wydaje się jednak, że nie ma on dzisiaj takiego wpływu na środowisko studenckie, jakie miał w latach 60. i 70. Jako ciekawostkę chcę powiedzieć, że obecnie takie fascynacje tańcem towarzyskim, jak w Polsce w latach 60. i 70., obserwuje się w środowiskach studenckich Stanów Zjednoczonych. W ubiegłym roku spotkałem się z synem moich kolegów z roku, który studiuje informatykę na Harvardzie. Jest on prezesem studenckiego klubu tanecznego przy tej uczelni. Przeżywają takie same fascynacje w rozbudzaniu potrzeb kulturalnych studentów, i to przede wszystkim tych studentów, którzy studiują nauki ścisłe. Jestem przekonany, że na tego typu fascynacje jest miejsce i dzisiaj. Może zmienia się forma i dziedzina, ale same fascynacje pozostają podobne.

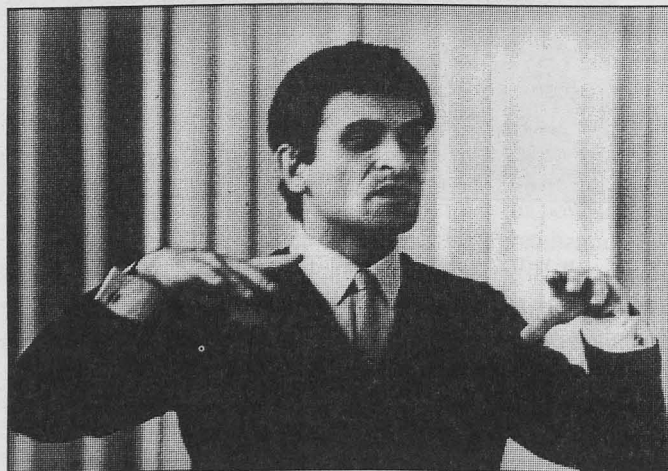
Jerzy Miotk

Absolwent Politechniki Gdańskiej

Moje cudowne lata...

Na początku był "Bim-Bom"... To właśnie "Bim-Bom" zapoczątkował zabawę w studencki teatr i ustalił zasady, na czym ta zabawa ma polegać. Oczywiście tak jak wszystko, tak i te zasady uległy modyfikacjom i rozwojowi, lecz legenda pozostała. Lata 1955-1956, w których rodziło się i rozwijało hasło: "Coś by trzeba", były trudne, ale tym bardziej mobilizowały do działania. Jak grzyby po deszczu w wielu miastach polskich zaczęły powstawać teatry i teatrzyki studenckie o różnych "specjalnościach" i sposobach ukazywania tego, co w duszy studenckiej grało. A grało niejednokrotnie jakby całą symfonią. To właśnie "Bim-Bom" wykrył w człowieku "koguta" - symbol pychy, nadęcia i zła oraz "kataryniarza" - który na sercu swym, jak na katarynie piękną gra muzykę. Chcieliśmy być właśnie takimi kataryniarzami. W ten właśnie sposób narodziłem się i żyłem w pokoleniu kataryniarzy.

Równoległe z rozwojem teatrów studenckich powstawały bardzo liczne, budowane własnym sumptem kluby studenckie. Prawie każdy dom studencki miał ambicję utworzenia - własnego klubu. W klubach tych bowiem kwitła kultura studencka oparta nie tylko na tak modnych dzisiaj dyskotekach, zwanych ówczesnie "wieczorkami tanecznymi" lub "ubawami". Gdańsk posiadał jeden najważniejszy, skupiający studentów niezależnie od specjalności i uczelni - Klub Studentów Wybrzeża "Żak", mieszczący się tam, gdzie obecnie - przy Wałach Jagiellońskich. To tu - jak nazwa kabaretu z tych czasów - było centrum kulturalne Wybrzeża. Było z nazwy i rzeczywiście było. Tutaj działały teatry studenckie owiane legendą, o nazwach takich, że



*Mam dwie, ale za to czyste ręce ... - J. Ciepiewski.
Jedna ze składanek z okazji "Ku Czci Auli PG"*

nie chce się wierzyć, aby kiedyś istniały: "Bim-Bom", "Co To", "Cyrk Rodziny Afanasjef", "Uwaga 61", "To Tu", "Galeria", "Teatr Rozmów", "Kabały", "A" - to właśnie nazwy teatrzyków studenckich w kolejności powstawania. Przynajmniej połowa znana nie tylko w Polsce. Oprócz teatrów grały świetne zespoły jazzowe, działał wspaniały, wręcz nobilitujący Dyskusyjny Klub Filmowy i Kawiarnia Poetycka. Jakże trudno było otrzymać kartę wstępu na "Spotkania Jesienne" czy jakąkolwiek imprezę organizowaną w tym budynku...

W tych to czasach, kiedy już "Bim-Bom", niestety, kończył swoją działalność ostatnim swoim programem "Coś by trzeba...", którego premiera odbyła się w 1960 r., grupa zapaleńców z Politechniki Gdańskiej postanowiła grać dalej na katarynkach



Scenka zbiorowa z "oper"
- program "Droga"

pobimbomowskich. W Klubie Politechniki Gdańskiej "Kwadratowa" w 1961 r. utworzony został kabaret "Kwadracik". Premiery miał trzy, ale były to właściwie występy jednorazowe, komentujące aktualne wydarzenia kulturalne Wybrzeża. Przede wszystkim Drugi Ogólnopolski Festiwal Kultury Studenckiej, który odbył się w Gdańsku w 1961 r. W rok później postanowiliśmy założyć prawdziwy kabaret, aby pokazać, co w nas gra, co by trzeba i co potrafimy. A chciało się. Nasz kabaret powoli stawał się drugą ważną po studiowaniu sprawą, a często odwrotnie. Ważniejsze były działania w kierunku stworzenia i pokazania pierwszego programu niż ochrzzczenie i nadanie nazwy kabaretowi. W bólach i wahaniach kabaret nazwaliśmy Studencki Teatr Politechniki Gdańskiej "Kabaret π ". Literka miała być symbolem technokracji kabaretu, jednocześnie tym, co to powoduje stukanie kół wagonowych o szynę ze znanego dowcipu, a właściwie nikt nie wie jak ona (ta końcówka) to robi. Odechnęliśmy z ulgą - nazwę mieliśmy, a więc pół roboty za nami (jak powiedziałby laik rozebrawszy zegarek). Zostaliśmy zarejestrowani w Komisji Kultury Komitetu Wykonawczego Uczelnianego Parlamentu ZSP Politechniki Gdańskiej, a naszym Ojcem Chrzestnym został ówczesny Przewodniczący Komisji Kultury - Włodzimierz Przybylski z Wydziału Technologii Maszyn. Siedzibą pozostał Klub "Kwadratowa".

W marcu 1963 r. "Kabaret π " był gotowy (tak nam się zdawało) do pierwszej premiery, której nadaliśmy tytuł "Podskakujmy panowie" - na cześć piosenki końcowej. W sumie podskakiwaliśmy średnio, chociaż doczekaliśmy się pozytywnych recenzji nie tylko w piśmie "Politechnik", lecz również w "Głosie Wybrzeża". Było sympatycznie, staliśmy się prawie bohaterami środowisk zbliżonych do..., a ja sam chodziłem z dumnie podniesionym czołem, bo wszystkie recenzje wyróżniały aktora amatora, nazwiska którego z wrodzonej skromności nie wymienię. Klub "Kwadratowa" nie był jednak dobrym miejscem na nasze poczynania. Byliśmy ściśnięci między niewielkim podium, stołówką (w której notabene odbyła się na zestawionych stołach pierwsza premiera teatryku "Bim-Bom"), próbami świetnego zespołu jazzowego "Flamingo" i odbywającymi się trzy razy w tygodniu wieczorkami tanecznymi, na których brylowało właśnie "Flamingo" z prowadzącym i grającym na banjo, gitarze i fortepianie niezapomnianym Lulem Woźniakiem. Pokazując w różnych środowiskach i w różnych miejscach Gdańska (i nie tylko) nasz pierwszy program, szukaliśmy jednocześnie pewniejszej i stosowniejszej dla naszej działalności siedziby niż "Kwadratowa". Kto szuka, ten znajduje. Właśnie w tym samym tzw. "Bratniaku", w którym

mieści się Klub "Kwadratowa", na poddaszu znaleźliśmy salkę naszych marzeń. Było to dość duże pomieszczenie, tzw. "harcówka" (kiedyś miejsce zbiórek harcerzy). Z zapalem cały zespół "Kabaretu π " wziął się do pracy i w salce nazwanej z racji swojego położenia "Szczytowa" powstała scenka z zapleczem i garderobą (w pokoiku obok, do którego przebiliśmy wejście) oraz widownia mieszcząca 100 krzeseł dla przyszłych widzów. Salka, scenka i garderoba, chociaż małe, zrobiły się nasze, a po remoncie bardzo przytulne. Razem z tym naszym kochanym "cudem" powstały słowa - później "sztandarowej" piosenki "Kabaretu π ", które mówiły, że:

*"...mamy scenkę swoją własną
mała scenka, ale jest.*

Mamy scenkę małą, ciasną, lecz czujemy się tu fest..."

Żeby poczuć się tu "fest", zrobiliśmy tu kawał dobrej roboty, pracując w różnych zawodach, począwszy od murarzy, malarzy, stolarzy, posadzkarzy, szklarzy, elektryków, krawców i dekoratorów wewnątrz, a skończywszy na kombinatorach, bo trzeba było "starać się jakos" o materiały.

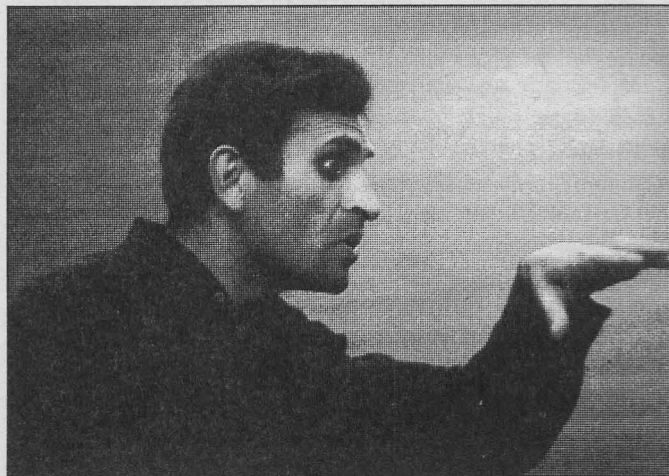
Zespół "mały, ale zgrany" tutaj tworzył i właściwie mieszkał, przygotowując nowe programy oparte na własnych tekstach, własnej muzyce (w większości), z własną scenografią, w strojach "zorganizowanych" we własnym zakresie. Tak powstały kolejne programy:

- "Droga" (1964),
- "Wynalazek" (1965),
- "Krzyżówka" (1967),
- "Kukły i Maczuga" (1970) - spektakl na podstawie twórczości F. Garcii Lorki.

Oprócz tych oficjalnych premier tworzących całościowe programy, powstawały tzw. "składanki" okolicznościowe stanowiące kompilację monologów, dialogów, blackoutów i piosenek.

Cała ta nasza kabaretowa twórczość rodziła się w bólach, "po trudnym przerywanym stosunku", jak stwierdził po jednej z premier nasz reżyser Zbigniew Bogdański. Długie popołudniowe dyskusje kończyły się często we wczesnych godzinach rannych, nie zawsze owocnie. Często byliśmy jedynymi widzami powstających tzw. "numerów", czyli składników spektakli. To, co nas śmieszyło i było dobre jednego dnia, już nazajutrz wydawało się głupie i bez wyrazu. W ten sposób powstawały programy "B" i "C", pokazywane tylko nielicznemu gronu widzów, właściwie prywatnie.

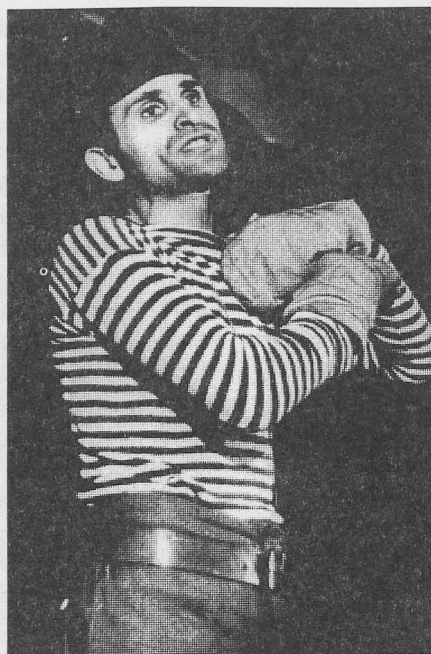
"Kabaret π " w swoim blisko 12-letnim okresie działalności tworzył wciąż ten sam "trzon osobowy", co jest chyba fenome-



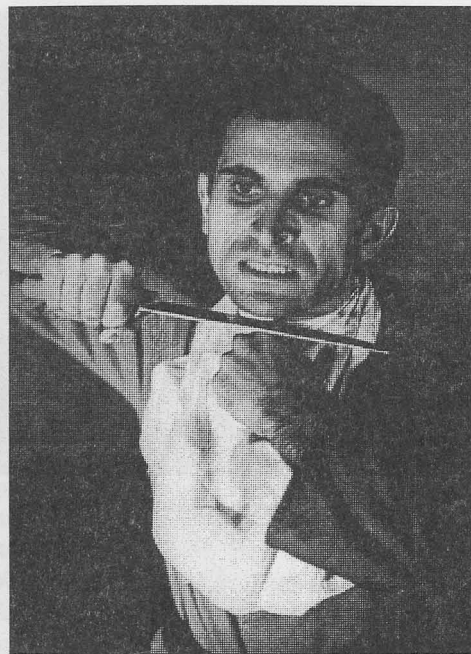
Ale ręka... J. Ciepeliowski w próbie jednej z pantomim



*"Ciepiewski" w pantomimie
"Operacja"*



*Mój życiorys kolejarski. "Ciepiewski" jako
kolejarz w pantomimie "Wynalazek"*



*Już nigdy... "Ciepiewski" w programie
"Droga" (Wszystkie zdjęcia I. Wolny)*

nem, bo byliśmy przecież amatorami i studentami (przynajmniej przez kilka pierwszych lat). Pojawiały się wprawdzie z biegiem czasu nowe twarze, nowi studenci i to przede wszystkim naszej Politechniki, lecz pierwotny trzon składu osobowego pozostawał. Wszyscy ci, którzy bawili siebie i innych, będąc wciąż amatorami: autorami, piosenkarzami, muzykami, reżyserami, tekściarzami, lub też pomagając w inny sposób w stworzeniu każdego spektaklu kabaretowego, pokończyli studia i dzisiaj są cenionymi inżynierami, dyrektorami, kierownikami, a nawet redaktorami.

Inżynier elektryk Jerzy Jankowski "Żdziebełko" jest dyrektorem Zakładu Energetycznego w Słupsku, inżynier mechanik Janusz Ciombor "Rafuś" jest dyrektorem ZNTK w Gdańsku. Inżynier mechanik Piotr Bławat jest kierownikiem Biura Projektów, świetny pianista, inżynier elektronik Stanisław Połonski jest kierownikiem Międzywydziałowej Pracowni Komputerowej Politechniki Gdańskiej, inżynier elektronik Mściwosław Nakonieczny "Misiu" jest kierownikiem Centrum Informatycznego TASK. Inżynier mechanik Jerzy Ciepiewski "Ciepiewski" jest inżynierem ds. aparatury Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej. Nie sposób nie wymienić tutaj nazwisk ważnych w działalności "Kabaretu", jak: inżynier elektryk Jan Rubczak, inżynier budownictwa Edward Licznarski, inżynier elektryk Janusz Wujkowski "Cymes", inżynier budownictwa Jacek Bujafski, mgr Stanisław Szczerek.

Dziewczyny występujące w "Kabarecie π " wywodziły się przede wszystkim z Wyższej Szkoły Pedagogicznej (późniejszego Uniwersytetu). Były to: mgr historii - red. Bożenna Szymańska, mgr historii Jagoda Zabulis, mgr polonistyki Renata Owczarska, mgr geografii Bożena Sabiniaż, mgr muzyki Irena Bujalska (wymieniam oczywiście nazwiska panięskie naszych gwiazd).

W roku 1964 wymyśliśmy imprezę, którą również sami zorganizowaliśmy, mianowicie Ogólnopolski Przegląd Teatrów Uczelni Technicznych. Zaprosiliśmy do udziału w przeglądzie zespoły teatralne o różnym charakterze - wszystkie te, które działały przy uczelniach technicznych całego kraju. Najlepszy zespół był nagradzany Pucharem Przechodnim Rektora Politechniki Gdańskiej. Puchar był przechodni, ponieważ impreza

przyjęła charakter coroczny i zorganizowana była czterokrotnie. Puchar trzykrotnie zostawał w Gdańsku i w związku z tym przeszedł na własność STPG "Kabaretu".

Kolejne programy "Kabaretu π " prezentowane na tymże Ogólnopolskim Przeglądzie zdobywały uznanie jurorów, a zespół był nagradzany za "... bardzo wysoki, wyrównany poziom aktorstwa...". Nasi koledzy piosenkarze Jan Rubczak i Edward Licznarski zdobyli laury w Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich w Krakowie.

Reżyserami większości naszych spektakli byli profesjonalni aktorzy: Zbigniew Bogdański, Józef Lewartowski, Marcin Idziński, dlatego przeszliśmy dobrą szkołę aktorstwa, co pozwalało lepiej przekazać to, co w naszych tekstach, gestach i mimice było ważne.

Ta nasza młodość radosna, "kataryniarska" bawiła i nas, i innych, łapała porozumiewawczym okiem z roześmianej studenckiej gęby, przemycając treści, które mieliśmy do przekazania.

Byliśmy amatorami w całym tego słowa znaczeniu, bo robiliśmy to, co lubiliśmy, i nie mówiliśmy o pieniądzach. Występowaliśmy najczęściej w "Szczytowej", jak też w przepelnionych salkach klubowych w DS-ach, na scenkach w Gdańsku i na wyjazdach, zazwyczaj z powodzeniem. Kiedy większość "członków" skończyła studia i wyjechała z Gdańska, skończyła się nasza działalność.

Dzisiaj teatry studenckie nie mają już takiego znaczenia, bo są inne koniunktury, stroje, inne sposoby "rozrywania się", inni ludzie, inny świat. Kluby "Żak" i "Kwadratowa" zmieniły się, straciły na znaczeniu, upadły mniejsze kluby. W sali "Szczytowej" nie ma już scenki - "trenuje" tam obecnie Akademicki Klub Taneczny.

Po moim kochanym teatrzyku, o być może dziwnej nazwie "Kabaret π ", zostało tylko wspomnienie, może legenda. Ale piękna. Piękna dla nas kabaretowiczów - pokolenia kataryniarzy i może dla tych, którym służyliśmy rozrywką i którzy nas pamiętają. Były to przecież dla nas CUDOWNE LATA.

*Jerzy Ciepiewski
Wydział Mechaniczny*

"Politechnik" - przygoda i coś więcej ...

Tygodnik Studencki "Politechnik" był obecny w życiu studenckim w Polsce przez ponad pół wieku. Narodził się w 1930 roku na Politechnice Warszawskiej, a przez powojenne lata swojego istnienia wydawany w Warszawie dostępny był w kioskach całego kraju.

Pismo adresowane było do środowiska uczelni technicznych, zaś na jego kształt ostateczny składała się praca kilkunastu redakcji oddziałowych zlokalizowanych w największych ośrodkach akademickich. Gdański oddział, powstały w roku 1962, z inicjatywy ówczesnego studenta Politechniki Gdańskiej Wiesława Kozry, należał do największych i najbardziej aktywnych.

"Politechnik" był miejscem doskonałej zabawy i zarazem wymienionej szkoły warsztatu dziennikarskiego. Spotykali się w nim ludzie czujący potrzebę wyszumienia się intelektualnego, jak i towarzyskiego, podzielenia się tym, co myślą i czują w rozmowach, dyskusjach, a także na łamach gazety. A gazeta pismo było najprawdziwszą. Przechodziło się w niej wszystkie szczeble dziennikarskiego wtajemniczenia, przy czym pierwszym wyróżnieniem, wstąpieniem do elitarnego grona było już samo przekroczenie redakcyjnego progu.

"Próbę pióra" zaczynało się zwykle od listów do redakcji i krótkich informacji o wszystkim, co się działo w środowisku. Gdańska szkoła informacji znana była w całej Polsce. Zwięzłość, błyskotliwość, oddanie sedna sprawy i to, co się zwykło nazywać "jajem", musiało się zawierać w kilku zdaniach. Nic dziwnego, że praca nad informacją trwała nieraz godzinami i kosztowała autora dużo łez i mozołu wielokrotnego pisania na nowo.

Radą służyli starsi, bardziej doświadczeni stażem, chociaż nie zawsze wiekiem, koledzy, będący rodzajem opiekunów



Winieta specjalnego numeru "Politechnika" z okazji 30-lecia Politechniki Gdańskiej

młodszych autorów. Większe teksty podlegały ocenie i dopracowaniu w czasie cotygodniowych spotkań w pełnym gronie redakcyjnym. Nie było taryf ulgowych, dyskutowano ostro i spierano się w swych racjach, zaś autor przechodził na sobie samym lekcję pokory, ale także doskonalenia się w sztuce słowa pisanego.

Przeglądając stare zszywki "Politechnika", można się zadumać nad ponadczasowością wielu poruszanych tematów. Przykładem tekst Waldemara Dąbrowskiego z 1973 roku należącego do cyklu "Studencki problem nr 1" pod znamienym tytułem "Dlaczego student kopci a nie płonie?". Ciągłe żywa dyskusja o studenckiej kulturze, tradycji wielkich klubów studenckich, miała wyrazistą kwitację już w połowie lat siedemdziesiątych w opublikowanym reportażu "Koniec mitu - czyli trzy godziny w Żaku". Tak, mit Żaka skończył się już ćwierć wieku temu...

Szerokim echem odbił się artykuł Janusza Wikowskiego - obecnego zastępcy redaktora naczelnego "Dziennika Bałtyckiego" - "Po co ci dziewczyno studia?". Trudno się dziwić, że autor stwierdzający, iż głównym motywem podejmowania studiów przez dziewczyny jest chęć zdobycia męża, otrzymywał masę obietnic "obicia buzi" od oburzonych czytelniczek z całego kraju.

Losy absolwentów, młodych inżynierów rozpoczynających pierwszą pracę zawodową, czy też początki karier dyrektorskich pojawiają w wielu reportażach i artykułach. Także życie uczelniane, jakość kadry akademickiej oraz dylematy kształcenia i reformy studiów są stale obecne na łamach.

To właśnie na stronach "Politechnika" objawiły się znane dzisiaj nazwiska kilku bez mała pokoleń dziennikarzy: doskonałego znawcy spraw morskich i globtrotera Andrzeja Gołębiowskiego, mistrza reportażu, piewcy Kaszub i Pomorza Edmunda Szczesiaka, publicystów i redaktorów naczelnych jak Jan Jakubowski czy Andrzej Liberadzki.

W redakcji spotykali się ludzie różnych uczelni i środowisk. Powiew świata artystycznego wnosił Grzegorz Boros z gdańskiej PWSSP, liczne grono uniwersyteckie reprezentuje dzisiejszy dziennikarz i literat Zbigniew Gach oraz kilkoro jego, zajmujących wysokie stanowiska redakcyjne, koleżanek i kolegów.

Obecne były medyczkini i studenci AWF-u. "Politechnik" przyciągał i kusił do tego stopnia, że w niektórych okresach zespół redakcyjny liczył kilkadziesiąt osób.



Polski Sierpień 80 w "Politechniku"

Gazeta ujawniała również moralne niepokoje środowiska akademickiego. Moralność i etykę działaczy i funkcjonariuszy studenckiej SZSP w ostry sposób poddał w wątpliwość Lech Ufel w reportażu "Działacz" z 1977 r. Skończyło się sądem koleżeńskim wygranym przez autora. Także w wywiadzie z pierwszym marszałkiem studenckiego parlamentu Politechniki Gdańskiej prof. Czesławem Druetem opublikowanym w maju 1980 roku, padły ważne stwierdzenia o wymogu uczciwości i prawdy w działalności społecznej i publicznej.

Przez wiele lat pokoik w akademiku nr 15 (obecnie DS 5) przy ulicy Wyspiańskiego był miejscem dysput przy herbacie i winie "o sprawie Rzeczypospolitej". Jedną z najgorętszych miała miejsce w 1978 roku, kiedy to ścierano się na temat koniecznych zmian w Polsce z ówczesnym redaktorem naczelnym "Polityki" Mieczysławem F. Rakowskim.

W naturalny sposób "Politechnik" znalazł się pod koniec lata 1980 roku między strajkującymi stoczniowcami. Obraz sierpniowego fenomenu oddany został w reportażu Wojciecha Charkina pod wielokrotnie później powtarzonym tytułem "Kiedy niemożliwe stało się możliwe".

Różne były drogi i wybory ludzi z "Politechnika". Mieczysław Sokołowski jest dzisiaj Konsulem Generalnym RP w Hamburgu, Andrzej Liberadzki od niedawna doradcą premiera do spraw mediów. Inni są redaktorami, wydawcami, dyrektorami, specjalistami różnych dziedzin i pracownikami naukowymi.

Niewątpliwie "Politechnik" był przygodą młodości, ale pozostanie także trwałym wpisem w życiorysie każdego, kto tej przygodzie zakosztował.

Wojciech Charkin
Biblioteka Główna

Kultura studencka dzisiaj

Kultura studencka wśród dzisiejszej braci studenckiej wygląda zupełnie inaczej niż kiedyś. O ile jeszcze niedawno na Politechnice istniały kabarety, kółka teatralne czy zespoły młodzieżowe, to teraz mamy do czynienia z regularnym chodzeniem studentów do dyskotek, zwanych "klubami studenckimi", szaleństwem na koncertach czy też innych imprezach masowych. Z tak licznej niegdyś rzeszy "szaleńców", którzy chcieli coś tutaj zrobić, pozostało kilka nielicznych osób, które spędzają czas na załatwianiu przede wszystkim spraw administracyjnych czy prawnych. Daleko nie trzeba szukać - tak kiedyś grzmiący studenckimi imprezami budynek "Bratniaka" teraz staje się ruiną: dach przecieka, instalacja elektryczna być może niedługo spowoduje pożar, fundamenty być może niedługo spowodują zawalenie budynku. Czy powodem takiego stanu jest tylko brak funduszy? A może jest to klasyczna "psychologia" - niech studenci idą bawić się gdzie indziej, wtedy będą się nimi martwić inni, a my wyciągnijmy z budynku jak najwięcej i... niech się wali? Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Zobaczmy, ile w budynku, który kiedyś był studenckim, jest teraz firm komercyjnych? A "Kwadratowa", zwana szumnie Klubem Studentów Politechniki Gdańskiej? Jedyne jeszcze w środku tygodnia studenci tam chodzą. Dzierżawcy bronią się tym, że płacą zbyt duży czynsz, a na studentach nie można zarobić; ile jest w tym prawdy - nie wiem.

Kilka lat temu powstał pomysł stworzenia Klubu Studentów - klubu z prawdziwego zdarzenia, w którym nie byłoby tak popularnej dziś aparatury nagłośnieniowej dużej mocy, za to odbywałyby się tam spotkania literackie i kabaretowe, mogłyby

się prezentować kółka teatralne i początkujący twórcy. Miałby się mieścić w pomieszczeniach w Domu Studenckim nr 6 przy ul. Wyspiańskiego. I po trzech latach walk z zatwierdzeniem projektu, z pomysłami na zmianę zagospodarowania tych pomieszczeń, dano nam iskierkę nadziei, że w czerwcu 2000 być może ten klub ruszy. Cztery lata! Zapewniam, że to potrafi zniechęcić każdego.

Ale atakując innych, muszę powiedzieć, że my, studenci, też nie pozostajemy bez winy. O ile jeszcze 15 lat temu wolny czas poświęcaliśmy na zabawy i własną twórczość - teraz każdą wolną chwilę poświęcamy na znalezienie funduszy na własne utrzymanie. Przykro mi to mówić, ale brać studencka zaczęła gonić za pieniądzem. Dlaczego tak jest, nie muszę chyba tłumaczyć. Coraz niższe zarobki rodziców, coraz wyższe koszty utrzymania, chęć posiadania własnych "drobnych" - to chyba wystarczające powody. Dlatego w świetle projektu ustawy o szkolnictwie wyższym, gdzie przewiduje się dodatkową opłatę za studia, zastanawiam się - jacy będą studenci za 10 lat, jak będzie wyglądała ich KULTURA STUDENCKA?

Hubert Kowalski

Przewodniczący Zarządu Samorządu Studentów PG

P.S. Na szczęście nie jest tak źle, na Politechnice działa w dalszym ciągu Chór Politechniki Gdańskiej, Akademicki Klub Tańca "Kontra", Kronika Studencka, Studenckie Koło Artystyczne przy Wydziale Architektury, działają kluby turystyczne, a dwa stowarzyszenia działające przy Samorządzie organizują imprezy o skali trójmiejskiej. Zorganizowano ogólnouczelniane otrzęsiny. Studenci Wydziału Architektury nakręcili film "Krótki film o zaliczaniu", który cieszy się wielką popularnością wśród studentów. Oby tak dalej...

Kręcić czy nie kręcić, czyli jak robiliśmy "Krótki film o zaliczaniu"

Film... po co robić film? Tak naprawdę przecież jest mnóstwo specjalistów, którzy zrobiliby to dziesięć razy lepiej i jeszcze by na tym zarobili. A ja, nie dość, że nie będzie to łatwe, wręcz bardzo trudne w pewnych momentach, zawałę przez to szkołę, wydam wszystkie pieniądze i nie wiadomo, co z tego wyniknie. Ale jeśli coś wyjdzie, to jaka będzie satysfakcja!

I chyba dlatego w ogóle chce się coś zrobić. Fakt, że coś, co wymyślę, może kogoś rozbawić lub popchnąć do myślenia czy

działania, jest bardzo motywujący i to on w moim przypadku pobudza do akcji.

Ale zaczęło się trochę inaczej...

Dwa lata temu postanowiłem nakręcić film, profesjonalny film. Będąc na pierwszym roku architektury i z pewnym doświadczeniem obsługi kamer, technik video i w tworzeniu krótkich filmików, które wyniosłem z zajęć, studiując informatykę we Francji, zdecydowałem tym razem zrobić coś bardzo profesjonalnego.

Postanowiłem, że będzie to film poważny, dorosły, zrealizowany na taśmie filmowej, z dźwiękiem stereo itd. I tak rzeczywiście się stało. Powstać miał krótki fragment, a właściwie początek pełnometrażowego filmu, ukazujący możliwości jego twórców i mający zachęcić potencjalnych producentów do zrealizowania całości.

Powstał scenariusz i po długich przygotowaniach przez cztery czerwcowe noce 1996 r. kręciliśmy ogromną scenę bankietu (ogromną jak na możliwości amatorskie) w hallu Gmachu Głównego PG.

Nie byłem jednak do końca świadomy kosztów i komplikacji. Taśmę trzeba było wywołać, przepisać na kasety wideo. Zanim to się udało zrobić, minęły trzy miesiące, przez które ciężko pracowałem w dwóch firmach komputerowych, aby móc oddać pożyczone pieniądze. Okazało się bowiem, iż koszty wzrosły dwukrotnie w stosunku do tego, co było zaplanowane.

Morale trochę spadło, szczególnie gdy zobaczyłem wreszcie materiał - nie byłem zachwycony. Inaczej to sobie wyobrażałem: więcej, w innych kolorach... ale cóż. Zacząłem montować. W październiku doszła też uczelnia - drugi rok.

Pragnąłem, aby wszystko wyglądało profesjonalnie: napisy, kilka efektów specjalnych mnożących statystów (za mało było osób na planie - połowa zrezygnowała po lub w trakcie pierwszej nocy) itd.

Zajął to dużo czasu. Nagraliśmy nawet specjalnie piosenkę do filmu.

Wreszcie, po jedenastu miesiącach walki, przez które parę razy chciałem już popełnić harakiri i wszystko rzucić w diabły, skończyłem i zorganizowałem premierową (fajnie się nazywa - jest pierwsza, ale zarazem często i ostatnia) projekcję.

Film był niezrozumiały (była to w końcu tylko pierwsza scena) i postawił widzów w sytuacji, w której po prostu nie wiedzieli, co powiedzieć. Dobrze zrobiony, widać, ale co z tego. No, ale skończyłem! Po miesiącach jatki wszystko nagle ucichło, i nic.

Myślę, że udowodniłem jedynie, że amatorskimi środkami da się zrobić coś wyglądającego bardzo profesjonalnie.

Dużo się nauczyłem, także od strony podejścia do sprawy, i z perspektywy czasu uważam, że w pewnych momentach należało odpuścić trochę tego profesjonalizmu, zyskać pozytywną atmosferę, a jednocześnie lepsze, wbrew pozorom, rezultaty.

W międzyczasie, kiedy chwilowo walka z "KOOOPERACJĄ" natknęła się na problemy techniczne (brak sprzętu, aby przygotować dźwięk), zapomniałem o niej na chwilę i nakręciłem coś bardziej żywego i szybszego. W bardzo trudnych warunkach: dwa dni na mrozie i śniegu z kamerą



Ja i kamera 16 mm

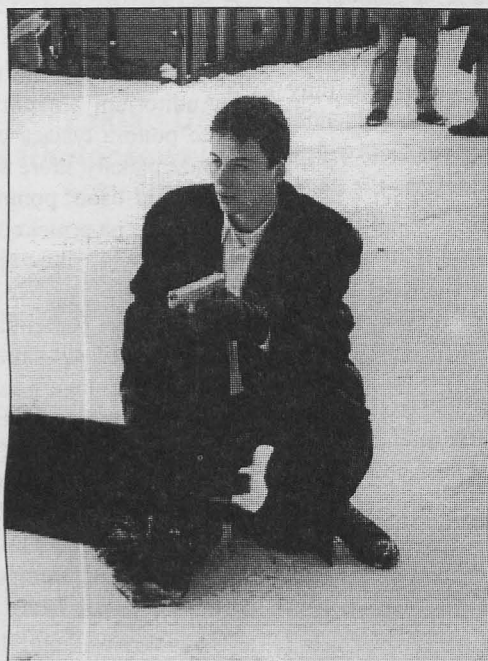
w prezentowanych filmach. Po południu pokazano "KOOOPERACJĘ". Siadłem w pierwszym rzędzie i, widząc pierwsze sekundy oraz słysząc zupełną ciszę na sali (ogromnego kina) - pomyślałem, że chyba trochę przesadziłem - coś mnie tknęło, że chyba nie powinienem był przysyłać go tutaj.

Po filmie nastała cisza. W chwilę później pokazano teledysk (o tym jak kręciliśmy film - widać było kamery, światła, przygotowania, makijaż itd.). Skończył się - i zaczęły się wrzaski i awantura. Ktoś krzyknął, że to komercja, że tak są realizowane teledyski Madonny itp. Musiałem wyjść, chwycić mikrofon i przeprosić za to, że nie wpasowałem się kompletnie w atmosferę przeglądu, chociaż chyba był to błąd organizatorów.

Trochę nie mogłem się otrząsnąć z tej porażki, a może sukcesu (w końcu nie uznano filmu za amatorski), ale przyznam, że wolałbym, aby został przyjęty trochę inaczej.

Postanowiłem, że nakręcę tym razem zupełnie inny film: coś o uczelni - coś z moich i kolegów doświadczeń. Film wesoły, o studentach, angażujący - może się da - również wykładowców...

W maju zaczęliśmy działać. Powstał scenariusz, była już obsada, operator profesjonalista...



Krzysztof Monkiewicz przygotowuje się do kaskaderskiego ujęcia w "ROUGH" ("Twardziel")

16 mm i czarno-białą taśmą. Powstała trzyminutowa scena akcji.

Na szczęście wtedy nie wiedziałem, że na materiał będę musiał czekać jedenaście miesięcy(!).

W marcu 1999 r. dowiedziałem się o Warszawskim Przeglądzie Filmów Amatorskich. Wysłałem "KOOOPERACJĘ". Zaprosili mnie, pojechałem.

Nieważne czy dobry czy nie, czy rozumiały czy zupełnie bez sensu i składu, każdy film oklaskiwano, śmiano się z niektórych gagów, ale również z oczywistych błędów i niedociągnięć

Niestety, tuż przed zdjęciami operator się rozchorował i byłem zmuszony kręcić sam. Wiem wtedy dokładnie, jak wszystko będzie wyglądać i co będę mógł z tego zrobić na montażu, ale jednak byłoby lepiej, gdyby to Mateusz stał za kamerą.

Zorganizowaliśmy spotkanie, aby znaleźć chętnych do pomocy przy filmie. Nie było ich wielu, a trzeba było sporo statystów - ktoś musiał grać tych studentów.

Zaczęliśmy kręcić. Staraliśmy się nie opuszczać zajęć, ale było to czasem niemożliwe. Oczywiście też całe otoczenie nie było tak do końca do nas przychylnie nastawione. Część osób myślała, że kręcimy film dokumentalny, niektórzy nie byli pewni naszych zamiarów i w jakim świetle chcę przedstawić uczelnię.

Organizacja sprzętu (kamera stanowiła największy problem - było ich w końcu chyba sześć na planie) była najbardziej kłopotliwa i kosztowna.

Są rzeczy, na które łatwo i przyjemnie wydaje się pieniądze i dlatego, wie-



*Kadra Wydziału Architektury
- widzowie i gwiazdy w jednej osobie*

rzając w całe przedsięwzięcie, angażowałem w nie wszystko, co miałem. Gdy "źródła" kamery w Trójmieście się wyczerpały, jeździłem do Warszawy, skąd mogłem jedną pożyczyć od czasu do czasu.

I tak było przez dwa miesiące. Na bieżąco, korzystając z komputera, montowałem nakręcony materiał i pod koniec czerwca praktycznie cały film był gotowy, bez kilku jeszcze fragmentów, bez dźwięku, ale był. Przestraszyłem się długości - 45 minut. Filmy amatorskie dłuższe niż dziesięć minut z założenia uważane są za nudne. Film miał trwać 25, a tu wyszło o 20 minut więcej - co to będzie? Przecież nie zrezygnuję z połowy scen.

W trakcie kręcenia organizowałem projekcję nakręconych materiałów, częściowo zmontowanych scenek. Były one przyjmowane bardzo pozytywnie, czasem wręcz entuzjastycznie, gdy występował wykładowca, i powtarzającym się pytaniem było: "jak ty go do tego namówiłeś?!".

Nie bałem się więc tak bardzo. Wiedziałem, że studentom architektury będzie się podobał, przynajmniej fragmenty. Ale co z resztą?

Od początku chciałem zrobić film nie tylko dla znajomych i tych "w temacie", ale dla wszystkich. To jest chyba najtrudniejsze: zrobić film, w którym każdy by znalazł coś dla siebie, film uniwersalny. Nie wiem czy mam rację, ale generalnie filmy amatorskie są bardzo specyficzne i ukierunkowane ku jednej grupie czy środowisku, często bardzo wąskiemu. Oczywiście każdy film ma swoją określoną, założoną widownię i w przypadku "KRÓTKIEGO FILMU..." byli to studenci i może też



Miejsce siedzących zabrakło na 35 minut przed seansem

licealiści, ale nie tylko z Politechniki czy z Gdańska, ale wszyscy.

W związku z tym założeniem z pewnych żartów musiałem zrezygnować, ku niezadowoleniu kolegów. Były dobre, ale w szerszym gronie zostałyby zupełnie niezrozumiane.

Niektóre rzeczy wydawały się banalne, już ograne i widziane wszędzie, ale uważam, że tak chyba musi być. Nie wszystko może być super oryginalne i nowe - pewne reguły obowiązują. Najtrudniej właśnie było kręcić rzeczy proste, nieinteresujące (główny bohater idzie korytarzem itp.), tylko po to, aby następna scena była zrozumiała i film miał jakąś ciągłość.

Oprócz troski o fabułę, trzeba było utrzymać odpowiednią atmosferę na planie. Aktorzy-ludzie są niecierpliwi. Trzeba kręcić szybko, nie ma czasu na zastanawianie się. Nie można zajmować się jedną postacią za długo, trzeba skakać w tę i w tamtą, aby wszyscy czuli się potrzebni i się nie nudzili, bo po prostu sobie pójść albo nie przyjdą następnym razem. To niestety odbija się na jakości, a wszyscy oczekują dobrych rezultatów, no i najtrudniejsze w kinie amatorkim, moim zdaniem, jest znalezienie w tym wszystkim równowagi. Dobra atmosfera jest najważniejsza, ale efekty też muszą być, no i co tu zrobić? Chyba tylko komedię!



Po projekcji

No i udało się! Na premierę filmu, którą zorganizowałem w Auditorium Novum 18 października 1999 roku przybyło około półtora tysiąca osób (!). Tego nikt się nie spodziewał. Fakt, że plakaty, które zrobiłem z obawy przed tym, że zjawi się trzydzieści osób, pomnożyły zainteresowanie, to jednak taka frekwencja na projekcji filmu amatorskiego to ewenement.

Ale to była tylko połowa sukcesu. Co będzie, jeśli się im nie spodoba, tyle ludzi? Jadąc na premierę z moim głównym aktorem Tomkiem Bartelikiem, mówiliśmy: "Ale będzie wtopa jak będzie wtopa". Ale śmiechom podczas projekcji nie było końca. Kamień spadł nam z serca. Niektóre sceny przyjmowano z takimi owacjami, że nie było słycać dialogu.

Jak się okazało, nie tylko my byliśmy szczęśliwi. Cała kadra Politechniki była zaskoczona "lekkością" filmu, od razu wszyscy bardziej chyba polubili Wydział Architektury. A mój cel zrobienia pełnego filmu, filmu z początkiem i końcem, został osiągnięty w najbardziej wspaniałych warunkach, jakie można było sobie wyobrazić.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli w realizacji filmu oraz tym, którzy go później oglądali!

*Paweł Czarzasty
Student Wydziału Architektury*



technoService

Studencka Spółdzielnia Pracy **Techno-Service**, 80-222 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Siedlicka 6

**Zakład Wytwarzania Obwodów Drukowanych, tel. 341 63 66, 341 20 05, fax 341 54 13
e-mail: techno@ikp.atm.com.pl, modem +(58) 344 15000**

- produkcja obwodów drukowanych jednostronnych, dwustronnych i wielowarstwowych
- projektowanie obwodów drukowanych ze schematu ideowego lub digitalizację obwodu rysunku wykonanego w skali
 - odtworzenie projektu z dostarczonego wzoru obwodu drukowanego
 - wykonywanie złączenia płytek do montażu powierzchniowego
 - ocenie galwaniczne złącz krawędziowych

Pracownia Ochrony Środowiska, tel. 341 41 96

- badania środowiskowe na stanowiskach pracy (wibracja, toksykologia, hałas, oświetlenie, mikroklimat, wentylacja)
 - badanie toksyczności powietrza w pomieszczeniach
 - fizykochemiczna analiza wody i ścieków
 - obliczanie wydatku energetycznego

Zakład Montażu Elektronicznego, tel. 341 32 24

- montaż i uruchomienie urządzeń elektronicznych z materiałów powierzonych i własnych
- montaż w technologii przewlekanej (agregat lutowniczy), powierzchniowej i mieszanej

Zakład Budowy Jachtów, tel. 308 11 84

- wykonuje wyroby z laminatów poliestrowych i epoksydowych (sprzęt pływający, wszelkiego rodzaju obudowy, elementy dla budownictwa)

**Zakład Usług Stoczniowych nr 1
przy Stoczni Gdańskiej S.A. i Gdyńskiej S.A., tel. 627 16 51**

- prace porządkowe, proste prace konserwacyjne i prace ciesielskie

**Zakład Usług Stoczniowych nr 2
przy Gdańskiej Stoczni Remontowej i Stoczni Północnej S.A., tel. 301 19 07, 309 65 92**

- prace porządkowe i proste prace konserwacyjne

Zakład Usług Różnych, tel. 552 91 38

- obsługa kompleksowa hipermarketów, magazynów itp.
 - archiwowanie, inwentaryzacja; dozór mienia
- mycie powierzchni oszklonych; mycie ścian elewacji
 - prace porządkowe; prace transportowe
- prace stolarskie; prace dekarские; prace malarskie
 - pranie firan i żaluzji pionowych
 - promocja reklam (hostessy), kolportaż
 - prowadzenie monitoringu dnia pracy
 - tłumaczenia, obsługa językowa imprez

Zakład Remontowo Budowlany, tel. 341 85 08

- roboty ogólnobudowlane
- prace blacharsko-dekarские
- docieplanie budynków

REGON 000408681 • NIP 584-030-49-34

Zarząd 0-58 / 341 98 02 • Centrala 0-58 / 341 32 25, 0-58 / 341 32 21 • Fax 0-58 / 347 25 60

BANKI: Wielkopolski Bank Kredytowy SA O/Gdańsk, konto 10901098-525200-128-00-0, BBG SA I/O Gdańsk-Wrzeszcz, konto 11601319-550-136-3

Neptunalia '99 w kamerze studenckiej



Politechnika XXI wieku - happening zorganizowany przez studentów Wydziału Architektury (fot. A. Dudko)



"Architektura na piasku" - konkurs zorganizowany przez studentów Wydziału Architektury (fot. A. Grenchal)